FATA MORGANA.



W skwarnéj Saharze
[bywa natury igrzysko:
Ścielą się przed wędrowcem jeziora i grody,
Lecz spragniony, znużony, gdy podejdzie blisko,
Nie znajdzie ani cienia, ani kropli wody.

Tak na Saharze lica nie jednéj kobiéty
Rajskiego szczęścia drzewo rozkwita nadzieją,
Lecz gdy spojrzysz w jéj serce, w tém sercu
niestety!
Wiatry tylko palące na pustyni wieją.
Bądź raczéj jak ów dworek wśród ustronnéj
wioski,
Co nie lśni się wystawą, ogromem nie puszy,
Ale pod jego dachem omglewają troski
Kwitną zbożne uczucia i spokojność duszy.

W. Korotyński.

CO POCZĄĆ?

Wiersz do imiennika.

Bodaj tych klecicielów sztambuchowéj pieśni!
Wszystkie z róż papierowych pozrywali liście,
Wszystkie sny wypisali, o których się nie śni,
Wszystkie uczuć rakiety spalili siarczyście.
Nim się wprosić zdołałem do księgi pamięci,
Napełnili ją wieszcze, muzycy, malarze;
Jedna kartka została— i w głowie się kręci,
Co na niéj złożę ci w darze?

Nauczki? Już ich spory zebrałem kapitał,
Starszy i doświadczeńszy, udzielać ich mogę;
Ale wiem, że nad rady, choćbym z gwiazd je
[czytał,
Najlepiéj z własnéj duszy kto czerpie prze-
[strogę.
Bądź kobiétą, chrześcjanką, ozdobą téj ziemi...
Mój Boże! otóż nowość wymyśliłem przecię!
Choćby mię osypano górami złotemi,
Nic radzić nie chciałbym w świecie.
Pochlebstwa? Cukierników przepyszna robota:
Smażą wiatr na lenistwa koronkowym trzonie,
Zawiną w papier mowy, co szychem błyskota,
I na tacy uśmiechu podają w salonie.
Jam od dziecka pracował na chleb tylko
[czarny,
Prosta myśl echem lasów do głowy mi wiała;
Choćby chętka pochlebiać — wysiłek mój
[marny,
I czyżbyś przyjąć to chciała?

Życzenia? Na wędrownym przyszłości obłoku
Bóg zawiesił nam szczęścia promienistą postać;
Niedostępna ujęciu, niewidzialna oku,
Choć oczom wciąż obecna... ach żebyż ją do-
[stać!
Daremnie! kiedy w świata ostatecznéj dobie
Jedna ostatnia gwiazda zostanie na niebie,
I wtedy jabym życzył, byś ją zdjęła sobie,
Lecz czyż ją zbliżę do ciebie?

Przyjaźń? Serce ostrzega, że to rzecz szalona;
Możemyż sobą rządzić my świata włodarze?
„Przyjaciela,“ „braciszka,“ „kochanka“ imiona
Los pomieszał i oślep wyciągać je każe.
Cóż jeżeli w ciemnicy omyli się ręka
I nieszczęsna w imionach nastąpi zamiana?
Obsiądą złorzeczenia i serce się spęka
I dusza będzie strzaskana.

Zostańmy bezimienni i zawsze ci sami,
Jak wczora, jak jest dzisiaj, tak niech jutro
[będzie,

Czy się niebo gwiaździste roztoczy nad nami,
Czy świat osiepotrzaska wrozhukanym pędzie.
Zostańmy bez odmiany gdyśmy siebie blizcy
I gdy z życiem popłyniem na rozlicznéj fali;
Pamięć tylko niech czuwa, choć zapomną [wszyscy,
Byśmy się kiedyś poznali.

W. Korotyński.

LISTY Z PARYŻA.

I.

Szanowne Redaktorki!

O ile uprzejme słowa Wasze, wzywające mię do współpracownictwa w Kółku Domowém, miłe mi sprawiły wrażenie, o tyle, wyznam szczerze, zakłopotałem się prawdziwie z obawy, czy zadaniu, do którego mię powołujecie, zadosyć uczynić potrafię.

Gdybyście mi, Szanowne Redaktorki, zaleciły napisać uczoną jaką archeologiczną rozprawę, możebym nie był w kłopocie i śmiało z długoletnich badań na tém polu wyspowiadał się przed czytelniczkami Waszemi, ale niestety, żądacie odemnie listów potocznych o rzeczach zajmujących i użytecznych z dziedziny literatury lub obyczajów miejscowych, żądacie wiadomości o ludziach znakomitych na polu nauki, poświęcenia i pracy, z tém zastrzeżeniem jeszcze, aby o takich tylko rzeczach pisać, które pożywny pokarm dla duszy przynoszą; drgają serdeczném uczuciem i zdrową myślą; o takich tylko ludziach, których życie i czyny są dla współbliźnich godnym naśladowania wzorem i jak ciepłe promienie dobroczynnego słońca, rozwijają wszystkie złożone w sercu ludzkiem czystych i szlachetnych uczuć zarody.

Zadanie to, trudne samo przez się, trudniejszém jeszcze się staje przez wzgląd na czytelników dla których mam pisać. Jeżeli w piśmiennictwie współczesnem, mianowicie francuzkiem, mamy tyle utworów czczych i jałowych, pozbawionych wszelkiéj wyższéj myśli, napisanych bez żadnego celu, to wnoszę nie bez racji, że twórcy ich wspomnieniem na makulatury i mole, wielką w sumieniu swojém ulgę znajdują, widząc przez to odpowiedzialność swoją znakomicie zmniejszoną. Lecz ze mną rzecz się ma całkiem inaczéj. Mam pisać aby być czytanym i to jeszcze przez to koło czytelników, które jeśli wolno użyć tego porównania, jest czarownym kielichem kwiatu, w którego łonie rozwija się drzemiące w zarodzie przyszłych pokoleń życie, jedném słowem przez *Kółko Domowe*, które za synonim prawie kółka rodzinnego uważam.

Zafrasowałem się prawdziwie tym nowym obowiązkiem moim, któryście na mnie włożyć raczyły, boć każdy obowiązek odpowiedzialność za sobą pociąga i aby mu zadosyć uczynić, o ile można w najlepszy sposób, postanowiłem udać się po radę do mojego własnego domowego kółka, przekonany, że ono najlepiéj i zadanie zrozumie i właściwy sposób wykonania go wskazać mi potrafi. Zresztą, muszę się tu wyspowiadać otwarcie, iż zanim jaką pracę przedsięwezmę, zawsze ją wprzódy przedstawiam mojéj nadwornej radzie, składającéj się z żony mojéj, bawiącéj przy nas jéj kuzynki, panny Augusty, i z dobrego przyjaciela mojego, z którym od szkolnych jeszcze czasów stała ciągle przyjaźń mię łączy. Do owéj rady mięszają się czasem i moja sześcioletnia Jadwisia, i mój pięcioletni Adaś, a nawet w wyjątkowych razach i Mruczysław, wspaniały i poważny kot, jak to już samo imię jego, jednego z bohaterów Myszejdy przypominające, wskazuje,— ale tylko z głosem doradczym.

Wiernego stróża i przyjaciela domu, psa, nie posiadamy niestety, bo w Paryżu i trudno go utrzymać, i nie wesołe ma życie. Wielu właściciel.i domów nie chce wynajmować mieszkań ludziom mającym dzieci, a cóż dopiéro psy, trzeba więc poprzestawać na kocie, który tu sobie ogólne prawo obywatelstwa wyjednać potrafił i od samych nawet właścicieli domów faworyzowanym bywa.

Do owego kółka domowego udać się więc postanowiłem po radę, ale trzeba było czekać wieczora, gdyż o téj dopiéro porze zbiera się ona w komplecie. Kobiety z robotami zasiadają około stołu, jedna rozkłada tiule, batysty, koronki i tym podobne materjały do fabrykacji cienkiéj kobiecéj bielizny potrzebne i tworzy z nich czepeczki, bluzki, staniczki, które choć świetne i piękne, nie wielki jednak robotnicy przynoszą zarobek; druga przyrządy do kwiatów, liście, listki, trawki etc. Na kominku koks melancholicznie się żarzy, tuż przed nim Mruczysław, jako czciciel ognia z tradycji, poważnie członki swoje wygrzewa, pomrukując czasem, gdy dzieci hałaśliwie igrając, i jego godność zbyt poufale zaczepią.

Przyjaciel mój, Ignacy, dla odpoczynku po godzinach biurowych, zazwyczaj z nową jaką książką przybywa, i czyta ją głośno. Ztąd snuje się wątek do zajmującéj literackiéj lub obyczajowéj gawędy, która i czas uprzyjemnia i chroni od téj przykréj umysłowéj czczości, jaką zwykle bezbarwna salonowa gadanina po sobie zostawia.

Już to czuję, że wypadałoby zapoznać czytelników bliżéj z osobami, które wymieniłem powyżéj, ale lękając się rozwlekłego opisu, zostawiam to czasowi, w tém przekonaniu, że same one uczuciami swojemi i sądami o rzeczach, najlepiéj charakter swój i sposób myślenia wykażą. O powierzchowność zaś nie chodzi tu wcale, tak sądzę przynajmniéj, bo i panna Augusta chociaż na wydaniu, zbyt jest daleko, aby nią który z młodych czytelników Kółka Domowego chciał sobie zaprzątać głowę. Dodam tylko, przez uszanowanie dla prawdy, że jest przystojna, brunetka. Ten Ignacy zaś, w całém znaczeniu tego słowa dojrzały kawaler, niby to trochę nią zajęty, ale to już sekret, o którym proszę nie mówić nikomu.

Lecz cóż to znowu, niejedna pewnie z mężatych czytelniczek zawoła: opowiada o pannach, o kawalerach, a o swojéj rodzonéj żonie nie pisnie ani słowa. Nie myślcie, moje panie, aby to skutkiem zapomnienia było, ale owszem, jeżeli nie wspomniałem o niéj, to jedynie przez delikatność dla Was; bo juściż żona moja jest najlepszą, najsłodszą i najpiękniejszą z całéj płci niewieściéj, dla téj prostéj przyczyny, że żona moja, że ukochana..

Gdyśmy więc wszyscy wieczorem do koła stołu zasiedli, a panna Augusta kipiący samowar wniosła i zalała herbatę, wezwawszy dzieci do porządku, przedstawiłem zgromadzeniu łaskawe wezwanie Wasze Szanowne Redaktorki i wyspowiadałem się zarazem z kłopotu, w jaki mię ono wprawiło.

Posiedzenie otwarte, kto żąda głosu? rzekła panna Augusta. Wtém kot miauknął przeraźliwie, bo mu Adaś biegając nastąpił na ogon. Wypadek ten przerwał na chwilę poważnie rozpoczętą naradę, trzeba było bowiem naukę moralną powiedzieć Adasiowi na temat: nie czyń tego drugiemu, co tobie nie miło i dać satysfakcję poszkodowanemu. Oba te obowiązki spełniła matka i w tak wymowny sposób, że rozczulony Adaś porwał kota w objęcia i trochę nawet za mocno uścisnął, Mruczysław bowiem widocznie obrażony tém gburowatém obejściem, mrucząc coś pod nosem o delikatności towarzyskiéj, wcisnął się pod krzesło méj żony, wiedząc z doświadczenia, że to najbezpieczniejsze dla niego schronienie.

— No, i cóż o tém wszystkiem myślicie? zapytałem.

— Co tu myśleć, zawołała Augusta, wzywają, więc pisać.

— Bardzo to dobrze, panno Augusto, rzekł zwolna Iguacy, ale żeby módz pisać, trzeba wiedzieć najpiérw co pisać, dla kogo pisać...

— Ha, ha, ha, zaśmiała się Augusta, listki róży oklejając, otóż jest i pan Ignacy z nieznośném mędrkowaniem swojém. Wybornie, tu chodzi o pracę, o pożytek publiczny, a on będzie myślał, zastanawiał się, rozumował, rozważał, roztrząsał, przez miesiąc, rok, lat dziesięć, i wyborny projekt przygotuje, ale przy skończeniu świata.

— Ależ wymowny kaznodziejo, pofolguj na chwilę, ciągnąc umyślnie wyrazy, odezwał się Ignacy. Chciéj się zastanowić, że są okoliczności w których człowiek sumienny i pojmujący całą ważność pisarskiego zawodu, bardzo i bardzo rachować się musi z każdą myślą i z każdém uczuciem, z którém z czytelnikami swojemi podzielić się pragnie. Zapewne, jaki pisarz rzemieślnik, ktoych teraz tak wielka i przerażająca namnożyła się liczba, chwyciłby za pióro bez namysłu i napisał korespondencję,pełną miejscowego charakteru, to jest brukowych paryzkich dowcipów; pełnych anegdot z teatru, lub spadających z kawiarni; zaokrąglił rzecz całą krótką deklamacyjką o kilku świeżo wyszłych dziełach, których tytuły odczytał i jakim pospolitym moralnym fajerwerkiem zakończył, aby nadać całości poważny, niby to do natury pisma i jego czytelników zastosowany charakter. Myślę jednak, że taki literacki bigosik, nie zadowolniłby Redaktorek Kółka Domowego, które głębiéj i sumienniéj na zadanie swojego pisma poglądają i radeby zapewne czytelnikom swoim zacny tylko i zdrowy moralny pokarm przynosić. Aby sobie jasno zdać sprawę z natury owych korespondencji, trzeba koniecznie zastanowić się najpiérw nad naturą pisma dla którego są przeznaczone. Cóż to jest kółko domowe?

— Ojciec, matka, syn, córka, bracia, siostry, kuzyni i kuzynki, zawołała panna Augusta.

— A o przyjaciołach zapominasz pani?

— Przyjaciele do kółka domowego w wyjątkowy tylko należą sposób. Zresztą, gdzie tam dziś szukać przyjaciół.

— Panno Augusto, zawołałem, czując że burzliwa istota zapędza się na bezdroża.

— Zawsze złośliwa, zawsze ta sama, z uśmiechem szepnął Ignacy.

— Tak, zawsze ta sama, i mam to sobie właśnie za zasługę, iż stałą jestem w charakterze moim, a nie tak zmienną jak chorągiewka na dachu, lub marcowa pogoda...

— Ależ Guciu, odezwała się milcząca dotąd moja żona, jeżeli będziemy odchodzili ciągle od przedmiotu, to nic nie zrobimy. Odłóżmy więc na inny czas owe spory o stałości lub zmienności charakteru, w téj chwili inny nas przedmiot zajmuje. Panie Ignacy, zechciéj nam powiedzieć daléj, co myślisz o tych korespondencjach do Kółka Domowego?

— Łaskawa pani, mówił Ignacy, kółko domowe w mojém przekonaniu jest to grono istot, złączonych z sobą związkami krwi lub uczucia, iż tak powiem, pod jednym dachem...

— I pod tym samym stopniem długości i szerokości jeograficznéj, wtrąciła panna Augusta.

— Zapewne, zapewne, kółko domowe, to garstka ludzi koło wspólnego zgromadzonych ogniska, osią jego jest rodzina, skupiająca

w około siebie pokrewne sobie uczuciem i pojęciami żywioły. Skład więc jego nader jest różnorodny, młodzieniec i mąż dojrzały, pochylony starzec i podrastający chłopczyna, poważna matka i dziewczę młodziuchne zasiadają tu razem koło jednego stołu i do jednéj rozmowy.

Pisząc dla grona z tak różnorodnych złożonego żywiołów, rozmaitość tę koniecznie na pilnéj uwadze mieć trzeba i takie dobierać przedmioty i w taki je przedstawiać sposób, aby stanowiły one miłą umysłową rozrywkę dla starszych, a pożyteczną i przyjemną naukę dla młodych.

Zupełnie zgadzam się z tobą, odpowiedziałem. Przechadzając się dziś rano po Luksemburskim ogrodzie, owym tradycyjnym miejscu ucieczki dla wszystkich strapionych lub zakłopotanych, zastanawiałem się właśnie nad tym przedmiotem; a wystawiając sobie w wyobraźni owo domowe kółko, do którego mam przemówić, mimowoli uleciałem w krainę wspomnień do moich lat młodocianych, do mojego własnego domowego grona, które składało się z śp. matki mojéj, jéj siostry, mnie, kilkunastoletniego wówczas chłopca i dwóch starych przyjaciół, dawnych jeszcze z wojska kolegów mojego ojca, który już od lat kilku spoczywał w mogile. Starzy ci przyjaciele nasi, obaj siwizną pokryci, obaj Napoleońscy jeszcze żolnierze, niewyczerpaną byli skarbnicą wspomnień z dziejów młodości swojéj. Jeden z nich, niegdyś kapitan piechoty, pełen był zawsze powagi, wstrzemięźliwy w mowie i bardzo pobożny; drugi zaś, były rotmistrz kawalerji, mimo siwego włosa, zawsze trochę trzpiotowaty, lubiący żartować ze wszystkiego, nie zważający na przedmiot z którego szydził, byleby tylko szyderstwo dowcipném było.

Pan rotmistrz w towarzystwie jednak mojéj matki bardzo się musiał powściągać z językiem, bo matka, surowa i poważna kobieta, dawnego jak to mówią autoramentu, pilnie strzegła, aby w jéj domu nie lekceważono ani religji, ani obyczajów i ostro bez ogródki gromiła, gdy się kto z czém niewłaściwém odezwał. Rotmistrz nie jedną odebrał burę, zanim się do zaprowadzonego rygoru wzwyczaił i nieraz mawiał z przekąsem, że będąc w domu naszym, zupełnie się jak na służbie czuje.

— A czegożeś to waszmość innego żądał, odpowiadała matka, człowiek uczciwy zawsze jest na służbie, bo życie całe jest służbą. .

— Tak, zapewne, mościa dobrodziejko, ale czasami chwilowy chociaż urlop nie zawadzi.

— Nie ma urlopu od obowiązków, mój rotmistrzu, a kto się od nich uchyla — dezerterem jest, dezerterem!

— A taki kulą w łeb bierze, basowym głosem dopowiadał kapitan.

Wzięty tak we dwa ognie rotmistrz, rad nie rad ustępował z placu. Natura jednak wilka ciągnęła do lasu i nieraz stary kawalerzysta zapędziwszy się w opowiadaniach swoich, wpadał na bezdroża; mięszał się wtedy, plątał, omawiać rzecz delikatnie i cofać się poczynał. Ten kłopot kończyła zwykle matka suchém odezwaniem. Dałbyś waszmość już pokój. Zawsze to człowiek lepiéj robi, gdy się wprzód namyśli, zanim mówić zacznie.

Taki to surowy regulamin panował w domu. Kto w nim chciał bywać, musiał rad nie rad zastosować się do niego; musiał przywyknąć do oględności w mowie, do szanowania obyczajów i tradycji, i do téj powagi, która nie wyłączając niewinnéj wesołości, po za właściwe granice wyjść jéj nie dozwala. Słyszałem nieraz mówiących, że w domu naszym panuje jakiś duch poważny, który powoli wszystkich w nim bywających przenika. Dziecko, nie mogłem tego zrozumieć, późniéj dopiéro pojąłem znaczenie tych słów, pojąłem, jaki to wielki i zbawienny wpływ wywierać może kobieta, matka, pani domu, która obowiązki swoje względem rodziny i domowych zdrowo pojmuje i z całą sumiennością, po chrześcijańsku wypełnia; zrozumiałem, że rzeczywiście pod wpływem takiéj kobiety wyradza się w domu i ogarnia go jakiś duch wzniosły i czysty, przenikający każdego, kto tylko w jego progi wstąpi, dający uczuć swoją siłę najniesforniejszym nawet umysłom. Spełniać sumiennie i ochotnie ciężący na człowieku obowiązek, to była główna, moralna zasada mojéj matki, od któréj téż sama nie odstępowała nigdy. Owych egzaltowanych, nerwowych czułości, będących tak dziś pospolicie w zwyczaju, cierpieć nie mogła, *romansami* je nazywając, szczególniéj jednak surowo gromiła młodych, z lekceważeniem odzywających się o tych zasadach, które sama za grunt i podstawę życia poczytywała. Na tém polu nikomu ustępstw nie robiła, ale bez ogródki ostrą i dotkliwą wypowiadała prawdę.

Pamiętam jak dziś, iż pewnego razu młody jeden literat, na niezwyczajnego pozujący człowieka, niby na Bajronistę, tylko że wyrazu tego jeszcze wówczas nie znano, będąc po raz piérwszy w domu naszym, gdy się zgadało coś o obowiązkach, odezwał się od niechcenia: „iż do żadnych obowiązków nie poczuwa się, nie pojmuje aby w czemkolwiek społeczeństwu był obowiązany; że zresztą pragnąc swobodnie, jak orzeł, bujać po świecie, dobrowolnie niczem krępować się nie myśli. Obowiązki są dla pospolitych ludzi, talenta im ulegać nie mogą.“ Słowa te tak oburzyły moją matkę, iż natychmiast z mocą odrzekła: „Mój panie, dom mój nie jest ani menażerją dla orłów, ani szpitalem dla obłąkanych; odzywając się w podobny sposób, widocznieś pan zapomniał gdzie jesteś.“

Literat zmieszał się i zaczerwienił po uszy a rotmistrz poczciwy zacierając ręce, półgłosem szepnął do niego: „Służba, mój panie, służba i to bez urlopu. Niema na to rady.“

Zabierając się pisać do Kółka Domowego,

pomyślałem sobie, iż najlepszą dla niego wskazówką i właściwości tonu i stosowności przedmiotu, będzie wspomnienie właśnie zacnéj matki mojéj. Pisać tak, jak gdyby słowa moje przez nią czytane być miały, oto mój program; a chociaż od lat już tylu mogiła kryje jéj popioły, surowy, poważny jéj obraz silnie wyryty w mém sercu, najczujniejszym i najtroskliwszym będzie Aniołem Stróżem méj pracy.

Może to nie jednemu z dzisiejszych pseudofilozofów naszych, zbyt sielankowém się wyda, ale mniejsza mi o ich zdanie, bylebym tylko trafić umiał do serc owych czytelników, którzy skupieni przy domowém ognisku, umieją jeszcze czuć gorąco i gorąco wierzyć, że nie poniewieranie związków rodzinnych, nie cyniczne lekceważenie najświętszych zasad życia, nie modna moralna apatja, ale przeciwnie, energja ducha, miłość rodziny i poszanowanie obowiązku, są i powinnością naszą i najpewniejszą rękojmią naszego szczęścia.

— W zasadzie, zgadzam się na wszystko, co powiedziałeś, rzekł zwolna Ignacy. To odwołanie się do wspomnienia śp. matki twojéj i oddanie niejako pod jéj sąd listów twoich do Kółka Domowego, jest w gruncie zdrowym i pięknym pomysłem. Ale obawiam się, aby trochę przesycone, czyli jak mówią *zblazowane* cząstki naszego społeczeństwa, nie poczytały ci tego za wymuszoną przesadę.

— Przesadę! Możnaż nazwać przesadą odwołanie się do najdroższych wspomnień, do najświętszych uczuć? Tu we Francji zapewne, byłoby to może przesadą; ale u nas węzły rodzinne zbyt jeszcze są silne i otoczone poszanowaniem, aby cześć dla pamięci matki za przesadę poczytaną być miała. Nie lękam się wcale podobnego zarzutu; a nawet i w takim razie gdyby prawda po twojéj była stronie, nie cofnąłbym słów moich, nie zaparłbym się uczuć i przekonań, które za czyste i święte uznaję.

W społeczeństwie zdrowém, kryć się z uczuciami czystemi, nie ma powodu; w zepsutém— kryć się z niemi nie powinno. Owszem, wytrwaléj jeszcze i śmieléj stawać w ich obronie, głośniejsze i uroczystsze świadectwo oddawać im należy. My, bardziéj może niż kto inny, mamy tę fałszywą skromność, albo raczéj tę słabość duszy, iż w obec uczuć lub przekonań całkiem nam przeciwnych, czujemy się niejako zakłopotani i gotowi zaraz do ustępstw na korzyść przeciwnika. Jest to słabość, moralna choroba, z któréj się leczyć koniecznie wypada, aby przyjść do silnego poczucia samych siebie, aby zdobyć tę energję ducha, która stoi na straży przekonań i charakteru człowieka.

Z tego na rzeczy zapatrując się stanowiska, nie mogę, mój Ignacy, przyznać słuszności uwadze twojéj. Owszem, postanawiam sobie pisać zawsze tak jak myślę i czuję, bez względu na to, czy się to temu lub owemu podoba, przesadném lub wymuszoném wyda. Myślę zresztą, że koło czytelników, do których przemawiać będę, przekonanie moje w tym względzie najzupełniéj podzieli i nie nazwie przesadą tego, co tylko jest prostém i naturalném uczuciem.

Na tém się zakończyła nasza wieczorna gawęda Umyśliłem ją spisać i przesłać jako list wstępny, jako zagajenie, moich do Kółka Domowego korespondencji. Niechaj czytelnicy przyjmą je tak serdecznie, jak im je serdecznie przesyłam; i niech to będzie między nami aktem wzajemnego zapoznania się, podania sobie ręki, z którego może z czasem i szczera się przyjaźń wywiąże.

Paryż 24 Stycznia.

E. Siewko.

OBRAZ DANIELA CHODOWIECKIEGO.

Temparamenta.

Kiedy Mikołaj Daniel Chodowiecki rysował ten obraz, nauka o fizjononomji, a ztąd i badania temperamentów ludzkich, zajmowały bardzo żywo świat uczony. Lawater z rysów twarzy odgadując usposobienie moralne człowieka, silnie zadziałał na wyobraźnią ówczesnego społeczeństwa. Czy Lawater był nieomylnym w swych poglądach? nie nasza rzecz rozbierać, ale że za ideał genjalnego oblicza, podał nam garbaty profil Fryderyka Igo króla pruskiego, to może trochę na pochlebstwo zakrawać!

Nasz Chodowiecki jako współpracownik Lawatera, gdyż do jego fizjonomistycznych fragmentów sam dorabiał rysunki, musiał być i zwolennikiem jego teorji. Tamten pisał o temperamentach, ten zaś je malował i kiedy dzieła uczonego szwajcara mało przez kogo bywają dziś czytane, znakomite utwory naszego ziomka, coraz większéj u znawców nabierają ceny.

Nim jednak obszerniéj pomówiemy o Chodowieckim, nie od rzeczy będzie zastanowić się nad tém, co to jest temperament? Często

słyszymy: on jest żółciowego temperamentu, krwistego, nerwowego? i t. p., nowsza bowiem fizjologja przypuszcza cztéry odmienne w ludziach temperamenta: krwisty, żółciowy, nerwowy i limfatyczny. Wedle tych czworakich usposobień fizycznych, wyrabiają się charaktery. Jeden będzie człowiekiem czynu, inny marzycielem, tamten genjalnym, ów samolubem i pasożytem, a na to wpływ główny ma wywierać, przewaga systemu nerwowego, krwi lub żółci, w organizmie człowieka. Lecz psychologja inaczéj dowodzi. Zasadą i podstawą temperamentów są: same *władze duszy*, powiada psycholog. I poezja dorzuciła tu swe zdanie. Dusza, rzekł pewien poeta, jest to wielki *maestro*, ciało porównać można do mniéj lub więcéj dobrego instrumentu muzycznego; czém lepszy instrument, tém doskonalsze tony mistrz zeń wydobędzie, a gdy braknie strun gdy niesz częście lub grzech zepsuły ten zmysłowy narząd, tedy nawet pod dotknięciem ducha, ciało nie zdobędzie się na harmonją cnoty.

Religja znosi te różnice. Chrześcjanizm powołuje człowieka do coraz większego doskonalenia się, do miłości Boga i bliźniego, do pokory i panowania nad samym sobą, a przed takiemi nakazy, umilknąć musi głos temperamentu.

Jaki temperament miał znakomity nasz artysta? o tém pisząc swą autobijografję, przemilczał. Wiemy przecież, że był pracowity, rozumny i pobożny, trzy ważne przymioty które wszelki temperament, dobrym uczynią.

Syn gdańskiego kupca, oddany za młodu na chłopca do korzennego sklepu, Daniel ważył pieprz i dźwigał paki aż do 17tu lat życia. Ojciec jego Bogumił umiał trochę malować minjatury, malował je dla własnéj rozrywki, i talenciku tego udzielił synowi, ale ręka młodzieńca zgrubiała od pracy, byłaby się wkrótce nie zdatném stała narzędziem do tak misternéj roboty, gdyby Opatrzność nie zaradziła temu.

Ayer, kupiec z Berlina, rodzony brat matki Chodowieckiego, wziął Daniela na buchaltera do siebie. Tam w stolicy Prus, młodzieniec miał więcéj sposobności zająć się ulubioną sztuką. Początki, jak to zawsze bywa, musiały być mierne. Daniel, minjaturzysta z urodzenia, zaczął malować tabakierki, a wuj przemysłowiec począł dla własnego zysku sprzedawać je na jarmarkach. Domyślił się wkrótce pan Ayer, że towar czém lepszy, tém będzie pokupniejszy, przyjął więc nauczyciela żeby siostrzeniec mógł malować na emalji. Wtedy Chodowieckiemu otworzyły się skarby sztuki, po raz piérwszy oczyma artysty spojrzał w tę rozległą a czarowną dziedzinę w któréj tylu go mistrzów poprzedziło a gdzie i sam zasłynąć miał w przyszłości. Jakże on pilnie pracować musiał, aby zacząć od tego co już dawno rówiennicy jego umieli, od samych początków rysowania, lecz boski dar talentu, połowę drogi skraca wybranym w sztuce. Chodowiecki uczył się i pracował, a w 1754 r. mając lat 28, zupełnie porzucił zawód kupiecki i został malarzem. Nie było mu sądzono wsławić się na tém polu; we dwa lat późniéj, Daniel wziął się do miedziorytnictwa i jako rytownik zdobył sobie popularność, imię rozgłośne, majątek, u potomnych zaś, sławę. Były to smutne w Europie czasy; nie dla sztuki gdyż jeszcze żył ostatni może religijny malarz we Francji Le Sueur a humorystyczny Hogart, Gerard Dow i Vanloo, słynęli, piérwszy w Anglji, dwaj drudzy w Hollandji, lecz dla całego europejskiego społeczeństwa, albowiem religja, zacność, prawda, poszanowanie cudzéj własności, zdaje się że w téj epoce znikły z oblicza ziemi. Wszakże artyści nie znali tego co dziś we Francji zowią: *La bohême* (cygaństwem). Ma to znaczyć ludzi talentu, ale tak zszarzanych moralnie, tak zaniedbanych fizycznie, że aby ich odróżnić od innych artystów, francuzi tę smutną wymyślili nazwę. I u nas, lat kilkanaście temu, pojawiło się owo ohydne cygaństwo. Widywano młodych, bardzo utalentowanych malarzy (a podobno i poetów) z rozczochraną głową, w bieliźnie izabellowego koloru, sadzących się na rubaszne ruchy i grubijańską mowę, a co gorsza, zalewających systemacznie, cudną iskrę natchnienia, brzydkim odwarem z żyta lub ziemniaków.

Daniel Chodowiecki nie takie miał nawyknienia; syn zubożałéj polskiéj rodziny, sam wyrobnik prawie w latach młodości, wkrótce wszedł w grono najpiérwszych czasu swego artystów, poznał się z Le Suerem, z Rode'm dyrektorem akademji berlińskiéj sztuk pięknych, oraz uczonemi owéj epoki. Nieustannie doskonaląc się w swym zawodzie, niebawem takiéj nabył wziętości, że każde dzieło w Prusach za życia Chodowieckiego wydawane, musiało być ozdobione miedziorytem Daniela. Pomny że ród jego z Wielkopolski pochodzi, w 1773 zwiedził dawną ojców siedzibę i wtedy odmalował minjaturę prymasa Podoskiego. Wróciwszy do Berlina, gdzie z dawna był już wice-dyrektorem akademji sztuk pięknych, po zgonie Rode'go, w 1798 otrzymał dyrektora akademji posadę, którą piastował aż do zgonu, to jest do 1801 r.

W jego pracowni przeważne miejsce zajmowała rodzina. Bogumił brat Daniela, Zofja i Joanna, córki artysty, należeli do najgorliwszych pracowników. Zofja, dzięki naukom ojca, wyszła na tak doskonałą malarkę, że akademja berlińska obrała ją swym członkiem w 1819 r.

Rozmaite zbiory, starannie przechowują liczne Chodowieckiego prace, których jest aż 3 tysiące, wszystkie zaś bardzo małych rozmiarów. W rycinach Daniela, znawcy podziwiają humor i surową powagę; umie on występek oblec w tak barwną i wyrazistą postać, iż niektóre jego ryciny, czynią głębsze wrażenie od traktatów moralności; tę właśnie za-

letę mają utwory współczesnego Chodowieckiemu, Hogarta.

Tak być musiało. Sztuka przestała patrzyć w niebiańskie ideały, gdyż społeczność zapomniała już o nich. Hogart malował satyry na obyczaje Anglików, Chodowiecki zbierał wzorki z otaczających go ludzi, a ci pewno nie byli od hogartowskich piérwowzorów lepszymi. Z arcydzieł naszego ziomka najbardziéj się podoba olejny obraz Chodowieckiego w królewskiéj akademji w Berlinie. *Pożegnanie Jana Calasà,* tudzież *Ślepa babka* i *Gra w Kurka* tamże.

Baron Edward Rastawiecki ma w swym zbiorze obraz tegoż artysty. *Niewiasta przy gotowalni.* W Galicji śp. Gwalbert Pawlikowski, miał liczny zbiór jego rycin w Medyce, a p: Hipolit Skimborowicz kustosz bibljoteki warszawskiéj, liczy w swym zbiorze wiele pięknych rycin Chodowieckiego.

Julja Janiszewska.

PRZYGODY
KS. MARCINA LUBOMIRSKIEGO.

Według autentycznych źródeł

Opowiedział

Władysław Chomętowski.

Żadna epoka nowoczesnych dziejów nie wydała tylu ekscentrycznych bohaterów czy też awanturników jak okres drugiéj połowy XVIII wieku; nie wymieniając obcych lub mniéj znanych, których liczyć można na tysiące; ludzie tacy jak Radziwiłł *panie kochanku*, Karol książe Nassau, lub Marcin książe Lubomirski, są to typowe postacie, zarówno uosabiają wiek w którym żyli, jakkolwiek każdy z nich indywidualną odznacza się cechą, mianowicie piérwszy jest przedstawicielem starych form społecznych, kiedy dwaj inni ogładzeni już polorem nowoczesnéj oświaty, obałamuceni romansowością XVIII wieku, łączą odwagę z miękkością obyczajów, zachowując jeszcze niektóre cechy dawnéj arystokracji. Radziwiłł jest typem rubasznego staroświeckiego magnata, ale nie bacząc na niektóre jego dziwactwa, wady i przesądy staréj daty, jest on jednym z filarów Rzeczypospolitéj, w czasach jéj zupełnego rozstroju, a ożywia go zawsze myśl ogólnego dobra i gorąca miłość współobywateli, kiedy książe de Nassau mający na celu jedynie sławę swego imenia, walczy w różnych stronach świata, nie baczy na to pod jaką służy chorągwią, byleby tylko olśnić się mógł sławą oręża, która jego jedyném jest bóstwem. Ostatni, Marcin Lubomirski również potomek znakomitego rodu, jest zbiorową indywidualnością największych kontrastów, łączy on tradycyjną odwagę przodków z miękkością obyczajów, ukształcenie i ogładę towarzyską z przywiązaniem do dawnych form społecznych, zamiłowanie nakoniec światowych rozkoszy z porywami szlachetnego serca, które w wirze namiętnego życia, jasną nieraz przyświecają mu gwiazdą; próżno kusilibyśmy się znaleźć cel do którego dąży, jest on bowiem jednym z grona ludzi będących zawsze pod wpływem najbliższego wrażenia, których życie, prawdziwe życie bez celu, jest zbiorem sprzeczności, pasmem różnorodnych wrażeń i pragnień zmieniających ciągle barwę, niby dziki krajobraz w promieniach zachodzącego słońca. Marcin Lubomirski wnuk Jerzego Dominika wojewody krakowskiego; był synem Antoniego miecznika koronnego i Anny Ożarowskiój oboźnianki kor., urodził się w ostatnich latach panowania Augusta IIgo, młodość więc Marcina odnosi się do epoki panowania Augusta IIIgo, najsmutniejszéj w dziejach Polski, pozorny bowiem spokój tego okresu był złowróżbną ciszą przed burzą, brzemienną zadatkiem klęsk przyszłych.

I.

Ojciec Marcina, Antoni Lubomirski Miecznik Koronny, starosta Kazimirski był dziedzicem ogromnéj fortuny, miasto Połonna w ówczesném województwie Wołyńskiém, Janowiec w dawném województwie Sandomierskiem jego były własnością. Najwięcéj mieszkał ks. Antoni w dobrach swych w Sandomierskiém w Janowcu nad Wisłą, miasteczko to, własność naprzód Firlejów, późniéj Tarłów, następnie Lubomirskich, odznacza się wspaniałym zamkiem na wysokiéj zbudowanym górze i wielą wspomnieniami z dziejów. Tu gościł nieraz Zygmunt III; w czasie rokoszu 1606 r. ścigany przez wojsko królewskie, Zebrzydowski schroniwszy się do Janowieckiego zamku, poszedł za namową senatorów i przepraszał króla znajdującego się w obozie pod miastem. Zamek

i miasto ucierpiało wiele od najazdu Szwedów 1656 r. Królowie: Michał Korybut i August IIgi przyjeżdżali w krytycznych chwilach na ważne obrady do Janowieckiego zamku, piérwszy w czasie wejścia Turków przybył tutaj, by obecnością swoją zachęcić szlachtę do wojny, drugi w epoce wojny domowéj r. 1716 naradzał się w Janowcu z pośrednikiem w zatargach pomiędzy nim a narodem, z posłem rosyjskim księciem Dołgorukim.

Zamek otoczony murem, rowem i wałami, był zbudowany w kształcie kwadratu z czterema basztami po rogach, miał dwa dziedzińce, w piérwszym były stajnie, wozownie i mieszkania przeznaczone dla zamkowéj straży, w drugim dziedzińcu w dwupiętrowym czworoboku były mieszkania państwa dworzan i hajduków, kuchnia i służba dworska zajmowała dół zamku; pokoje na dole były maleńkie, na piérwszém piętrze były sale bawialne i jadalne, na drugiém sypialne i gościnne pokoje, przeznaczone po większéj części dla rezydentów i rezydentek. Wszystkich pokoi w ogóle było 98 i sal dużych 7; trzy najwspanialsze z marmurowemi posadzkami i takiemiż kolumnami, mianowicie sala bawialna, portretowa i jadalna, ściany sali portretowéj były malowane alfresco, przedstawiające wizerunki przodków rodziny Lubomirskich; w innych salach były obicia adamaszkowe, w sali jadalnéj, któréj obicie było błękitnego koloru, w jednym z narożników był chór pod sufitem dla kapeli, która w czasie uczty muzyką rozweselała gości. W jednéj z baszt narożnych na piérwszém piętrze była kaplica, w drugiéj przeciwległéj bogata zbrojownia, w niéj symetrycznie porozkładane były na stołach i porozwieszane na ścianach, różne zabytki z przeszłości, z których odznaczały się najwięcéj: kulbaki złotem i srebrem obite, rzędy na konie wysadzane drogiemi kamieniami, mnóstwo puharów i naczyń srebrnych, bogate dywany perskie i makaty, daléj buławy hetmańskie, laski marszałkowskie, buńczuki, buzdygany, pałasze i karabelle z rękojeściami i pochwami drogiemi kamieniami wysadzanemi, fuzje, kołczany i łuki, jakotéż sajdaki złotem i srebrem ozdobione i t. p. W zamku Janowieckim połączone były kosztowności dwóch zamożnych rodzin, ojciec bowiem księcia Antoniego otrzymał Janowiec w posagu wraz z ręką drugiéj swéj żony Barbary Tarłówny.

Dwór księcia miecznika koronnego był urządzony na sposób staroświecki, mnóstwo dworzan i sług mieściło się w jego murach, wszyscy byli polacy, odkąd bowiem syn jego Marcin ukończywszy edukację, powrócił z zagranicy, odprawił książe Antoni byłego guwernera francuza Gerarda i kamerdynera Dubois, którzy jedynemi cudzoziemcami byli na jego dworze w epoce młodości syna. Marszałkiem dworu był towarzysz chorągwi pancernéj księcia Maciéj Hanicki, ten zarządzał pocztem składającym się z synów szlacheckich, z których dorodniejsi pełnili obowiązek paziów, którzy towarzyszyli państwu w podróży i na ucztach, Lokaje i hajducy ubrani w liberję, stali zawsze w przedpokojach piérwszego i drugiego piętra, w pogotowiu na każde zawołanie pana. Szatnym księcia był stary szlachcic, sługa jeszcze księcia wojewody; miał wyłączny dozór nad garderobą pańską, ale głową całego dworu był towarzysz i zarazem marszałek Maciéj Hanicki, który zupełne posiadał zaufanie ksiccia i miał nieograniczoną władzę nad całą służbą. Ciągłemi rezydentami dworu byli: ks. Tokarski kapelan, ks. Drużbacki pijar, także Siemoński chorąży znaku pancernego księcia miecznika, który był powiernikiem wszystkich jego kłopotów i zarazem wykonawcą najtrudniejszych zleceń tak w sprawach publicznych, jakotéż domowych, on téż i ksiądz Drużbacki byli jedynemi jego doradzcami.

Dwie panny Tarłówny pozostające pod opieką księcia Miecznika do śmierci jego żony były ciągłemi rezydentkami w Janowcu, nie licząc wielu innych dziewic, córek szlachty, bliższych i dalszych kolligatów rodziny Lubomirskich, które wychodziły ztąd za mąż, a biedniejsze wyposażane były.

Księżna Anna, małżonka miecznika koronnego, była jedną z tych zacnych polskich matron, które z cywilizacją zachodu, umiały połączyć dawny polski obyczaj, skromność w obejściu, głęboką pobożność, nakoniec serdeczność w podejmowaniu gości, którzy prawie codziennie nawiedzali podwoje tego zamku; umiała się ona zastosować do każdego towarzystwa, zarówno kontuszowy szlachcic jak upudrowany hrabia, znajdowali wdzięk w jéj rozmowie, to téż wszyscy, starzy i młodzi uwielbiali księżnę miecznikową, a dla męża była ona przedmiotem największéj czci i miłości. Śmierć téj matrony złamała hart duszy męża, który opierał się długo w walce z burzami i zawodami życia; dowiedziawszy się niespodziewanie, że jego droga małżonka zmarła na drodze w Kocku, dążąc z powrotem do domu, od córki swéj księżny Sapieżyny wojewodziny Połockiéj, książe miecznik załamał ręce, podniósł oczy w górę z wyrazem niemej rozpaczy, poczém upadł nieprzytomny na podłogę; skoro ocucili go słudzy, wydał rozkaz do nadwornego swego pułku, ażeby w dniu następnym gotowy był do marszu. Nazajutrz skoro dzień zaświtał, wyruszył książe miecznik na czele zbrojnego hufcu, z towarzyszami chorągwi pancernéj, z licznym pocztem dworzan i sług w drogę ku Kockowi, zkąd następnie postępując pieszo z odkrytą głową za trumną, sprowadził ukochane zwłoki do Kazimierza. Dzień ten był właśnie dniem pogrzebu, na który zjechali się gromadnie przyjaciele i znajomi Janowieckiego dworu.

Nim zaznajomiemy czytelników z gośćmi, którzy byli uczestnikami tego smutnego obrzę-

du, musiemy poznać piérwéj czcigodną postać gospodarza domu, jego. stosunki polityczne i rodzinne, które zatruły nie jedną chwilę miecznika i włos jego przedwczesną pokryły siwizną. Książe miecznik koronny był typem staroświeckiego magnata, przywiązany on był duszą i sercem do dawnych tradycji, miał cześć dla starych zwyczajów i swobód szlacheckich, ale szanując ustawy przodków, widział zgubne następstwa w instytucji, która dając nieograniczoną wolność każdemu ze szlachty tamowania obrad sejmowych, otwierała pole intrygom stronnictw i pogrążyła kraj w anarchję. Dumny z zasług przodków i swego imienia, którego blask rad był podnieść na drodze od-

Przez cały ciąg panowania Augusta IIIgo, Miecznik Koronny posłował prawie ciągle na sejmach, a kilka razy trzymał marszałkowską laskę, znakomity mówca starał się usilnie za każdym razem o utrzymanie porządku na sejmach. Wiadomo już, że ważne reformy głównie były celem dążności gorliwych obywateli Rzeczypospolitéj, mianowicie powiększanie siły zbrojnéj i wywołanie z obiegu fałszywéj monety; napróżno Książe miecznik na każdym sejmie zaklinał w najgorętszych wyrazach braci, ażeby mając na względzie miłość ojczyzny, porzucili wszelką prywatę i dali przykład gorliwości obywatelskiéj, przykładając się do przeprowadzenia jednomyślnéj uchwa-



Cztery Temparamenta. (*)

rodzenia ojczyzny, Antoni Lubomirski nie szczędził żadnych ofiar by okazać się godnym obywatelem kraju, większą część dochodów obracał na umocnienie pogranicznych zamków, na różne potrzeby wojskowe, jakotéż chorągwi pancernéj, któréj był dowódzcą, niemniéj na organizację pułków nadwornych, których pułkownikiem był Siemoński chorąży pancerny. Kiedy dowcipne paszkwile, wymierzone względem różnych znakomitych osób krążyły po stolicy i po całym kraju, księciu miecznikowi koronnemu te zaszczytne przypisali wiersze:

Dives in ore, pauper in aere,
Piękny mówca i wielki czciciel dla ojczyzny,
Dla jéj zdrowia fortunie zadał znaczne blizny.

ły sejmu, głos jego, jak wielu innych, był głosem wołającego na puszczy. Czytanie dziejów, doświadczenie poczerpnięte z życia, przekonało wcześnie miecznika, iż żadne usiłowania pojedynczych ludzi, ani téż przykłady cnót obywatelskich nic nie pomogą w obec złéj instytucji, która otwiera swobodne szranki wybujałym namiętnościom, które sądząc po ludzku zawsze były i będą; pojmował on dobrze, że bez wyraźnego prawa po-

(*) Niniejszy drzeworyt jest zdjęty z rysunku Daniela Chodowieckiego, przedstawiającego cztery temperamanta. Każda z osób patrzących na stojące przed nią malowidło, odbiéra inne wrażenie, stosownie do swego temparamentu.

wściągającego zapęd tych namiętności, żadne społeczeństwo długo ostać się nie może. Ideę reformy rządu przez zniesienie *liberum veto* podniósł jeszcze Karwicki chorąży Sandomierski za panowania Augusta IIgo, wielu mężów w tym czasie nawet wysokie piastujących godności, widziało potrzebę téj reformy, ale nikt dotąd nie śmiał wystąpić publicznie, dzieło Karwickiego pozostało w rękopiśmie. Piérwszy ksiądz pijar Konarski, dopiéro w ostatnich latach panowania Augusta IIIgo, odważył się na wydrukowanie dzieła, które w kole światłych ludzi znalazło prawdzie sąd pobłażliwy, ale większość zaślepiona fanatycznèm przywiązaniem do starego obyczaju, lub przerażona fałszywą myślą utracenia wolności krwią przodków nabytéj, ze zgorszeniem czytała książkę o skutecznym rad sposobie czyli utrzymywanie ordynaryjnych sejmów. Książe miecznik połączony był oddawna węzłem najściślejszéj przyjaźni z ks. Pijarem Konarskim, przyklaskiwał reformie szkół zaprowadzonéj przez niego, i zachęcał go nieraz do wykończenia i wydania na świat dzieła określającego porządek sejmowych obrad i podającego śródki stanowienia uchwał większością głosów. Miecznik Koronny miał w duchownym stanie dwóch prawdziwych przyjaciół: dopiéro wspomnianego ks. pijara Konarskiego i Drużbackiego, ale ceniąc wielce głęboką naukę i wyborny sąd piérwszego, poruczył mu wychowanie jedynaka syna Marcina. Piérwsze lata młodości Marcina, otaczała aureola świetnéj przyszłości, jeszcze był w kolebce, kiedy elektor Palatyn Reński przysłał mu order św. Huberta, podobny zaszczyt spotkał nie jednego z polskich magnatów, między innemi Karola Radziwiłła zwanego „*panie kochanku*.“ Pod okiem bogobojnej matki ćwiczył się Marcin w cnotach, których ona była żywym przykładem, łączyła bowiem prawdziwą pobożność z skromnością i miłosierdziem, o ile książe miecznik był szczodry w sprawie publicznéj kraju, o tyle małżonka jego była hojną dla biednych i poddanych. których wspierała w chorobie i w nędzy. Nauczycielami piérwszemi starościca Kazimierskiego byli księża Tokarski i Drużbacki, nieco późniéj przybył do Janowca guwerner francuz nazwiskiem Gerard, skoro zaś zaczął Marcin rok trzynasty życia, odesłał go ojciec do konwiktu ks. Konarskiego, w którym wraz z guwernerem przebył lat trzy, a w przeciągu tego czasu tak wielkie zrobił postępy, że na zadany temat pisał z łatwością po łacinie, włosku i francuzku; ojciec odebrawszy list od syna wyborną pisany łaciną, nie posiadał się z radości, więcéj niż styl czysty zachwyciła go treść pisma, które zawierało rozprawę, o wdzięczności należącéj się rodzicom od dzieci za trudy łożone około wychowania, które ich ma uczynić w przyszłości dobremi obywatelami kraju. Uradowany ojciec złożywszy tysiączne księdzu Konarskiemu dzięki, za naukę syna i zaszczepianie w jego umyśle pożytecznych i moralnych zasad postanowił go wysłać na lat parę w podróż za granicę, gdzie stosownie do ówczesnego zwyczaju miał odwiedzić najprzód Luneville rezydencję króla Leszczyńskiego, następnie udać się do Paryża, jako do stolicy mody i cywilizacji. Właściwie w Lunevillu miał książe Marcin kończyć jeszcze edukację, pod okiem króla filozofa, a po dwuletnim pobycie w tamecznéj akademji, dozwolił ojciec mu zwiedzić celniejsze stolice Europy mianowie Paryż i Wiedeń.

Wyprawił ojciec więc syna z błogosławieństwem na drogę, w towarzystwie guwernera Gerarda i kamerdynera francuza Dubois, którego umyśnie przyjął miecznik dla usługi syna za granicą. Pobyt dwuletni w Lunevillu nie był bez wielkiéj korzyści dla młodego człowieka, nauka, towarzystwo ludzi słynnych z postępowych pojęć i dowcipu oddziaływały dziwnie na wrażliwy umysł Marcina, który nader ujmującą powierzchownością podbił serca wszystkich, zarówno rodaków, jakoteż cudzoziemców otaczających dwór naszego króla wygnańca. Książe miecznikowicz był wysokiego wzrostu, twarz miał podłużną, wyrazistą, czoło wyniosłe, nosił strój polski, który podnosił jego męzką urodę, w obec innéj młodzieży w opiętych niemieckich sukniach, z upudrowanemi głowami, to też często w czasie tańcujących wieczorów dochodziły młodzieńca pochlebne słowa, wychodzące z ust pięknych niewiast, wymówione niby ukradkiem, ale dość głośno aby je mógł usłyszeć. Kiedy zbliżał się termin, w którym miał pożegnać rezydencję króla Stanisława, nie jedno serce okryło się żałobą, bo nasz Marcin aczkolwiek jeszcze nie wyćwiczony w uwodzenia sztuce, rozwijał już skrzydła wyobraźni, która pod wpływem słów pochlebnych i urody pięknych niewiast, rada była chętnie żywić się romansowemi wrażeniami, których tak obfitego wątku dostarczał świat ówczesny, zarówno w żywych przykładach jakotéż w książkach. Ale skłonności romansowe księcia Marcina rozwinęły się dopiéro w Paryżu, gdzie młodzi dziedzice możnych domów znajdowali nader obszerne pole do zadowolenia żądz swoich; piękne kobiety z różnych stron zastawiały sidła na łatwych do pokonania, bo nie wyćwiczonych w szrankach kupidyna szermierzy, bogaci jubilerowie z łatwością otwierali im kredyt. Książe Marcin w krótkim czasie po przyjeździe do Paryża, znalazł mnóstwo młodych ludzi rodaków i cudzoziemców, którzy mając wypróżnione kieszenie, współubiegali się o jego przyjaźń, towarzyszyli mu na wieczorach i redutach, dopomagali do zawiązania miłosnych intryg, a nakoniec do zaciągania długów, które były następstwem piérwszych. Guwerner Gerard nie śmiał czy też nie chciał sprzeciwiać się woli swego ucznia, bo lubo wiedział o wszystkiem, w listach do księcia miecznika najpiękniejsze oddawał świadectwa sprawowa-

niu syna. Przeszło sześć miesięcy upłynęło od czasu przyjazdu do Paryża miecznikowicza, a długi jego wynosiły już około 30,000 fl., jubiler jeden z wierzycieli Marcina spisał długi rachunek i posłał do Polski na ręce księcia miecznika z żądaniem zwrotu należącéj im kwoty. Ojciec odebrawszy niespodziewanie ten piérwszy dowód rozrzutności syna, spostrzegł grożące mu niebezpieczeństwo i nierzetelność guwernera, który położone w nim zdradził zaufanie. napisał więc natychmiast list pełen wyrzutów do syna z wezwaniem ażeby niezwłocznie po odebraniu listu wyjechał z Paryża i wrócił do Polski, jubilerowi zaś odesłał pieniądze z zastrzeżeniem, ażeby nadal nie ważył się udzielać kredytu synowi: Książe Marcin po odebraniu listu ojca przeraził się mocno, myśl że rachunek jubilera otworzył miecznikowi oczy, że już wie o jego postępkach, okryła czoło jego rumieńcem wstydu, jakkolwiek nie mógł wątpić, że prędzéj czy późniéj sprawy jego musiały się odkryć w ten sposób. Przykro mu było również opuszczać Paryż, ale obawa ojcowskiego słusznego gniewu skłaniała go do powrotu; po krótkiéj naradzie z guwernerem, stanęło na tém, że wyjadą natychmiast do Polski i że książe Marcin upadnie do nóg ojcu, wyzna swój błąd w pokorze i będzie błagać o przebaczenie.

Nie będziemy opisywać szczegółów powrotu do rodzicielskiego domu, powiemy tylko, że książe miecznik nie chciał z początku widzieć syna ani też guwernera, któregc zaraz po przyjeździe odprawił wraz z kamerdynerem francuzem; ale polecił jednocześnie księdzu pijarowi Drużbackiemu, aby codziennie w oznaczonych godzinach wykładał naukę moralności marnotrawnemu Marcinowi, któremu przez czas tych rekollekcji nie wolno było wydalać się na krok jeden z przeznaczonego mieszkania; jedyną wolno mu było zabawiać się książką, a tą było naśladowanie Chrystusa Tomasza a Kempis. Matka nie była tak surową w postępowaniu z synem, pomimo zakazu księcia miecznika odwiedzała go ukradkiem i prośbami swemi zmiękczyła gniew ojca, który otrzymawszy świadectwo od księdza Drużbackiego o szczerym żalu syna, dał mu się przebłagać, surowém skarciwszy napomnieniem. Wypadki rzeczone nastąpiły na początku wojny siedmioletniéj; w owéj to epoce niektórzy panowie polscy, nie mając jeszcze wytkniętego celu pod względem polityki zewnętrznéj, oddawali swych synów do zagranicznéj służby, tak dla wykształcenia wojskowego, jakotéż zaszczytów, ktorych nie mogła się spodziewać młodzież polska w krajowéj służbie, w epoce długoletniego pokoju. Książe Marcin idąc za wolą ojca, wstąpił jako ochotnik do wojska pruskiego, zaraz na początku nowego zawodu odznaczył się walecznością, uzyskał w krótkim czasie stopień generała majora i dowództwo regimentu kawalerji. Wiadomości o powodzeniu i zaszczytnych postępkach syna, mocno uradowały księcia miecznika, nie żałował znacznych kosztów, które pociągała zagraniczna służba, młody bowiem generał utrzymywał na własnym koszcie liczne grono ochotników, którzy walczyli przy jego boku i stanowili jego świtę. Wkrótce znane wypadki wojny, najazd Fryderyka Wgo na Saksonję, odstręczył, od tego króla, umysły znakomitéj większości narodu i wszystkich którzy olśnieni sławą jego oręża, sprzyjali mu dotąd jawnie lub tajemnie, wiemy bowiem że powstał nawet projekt wyprowadzenia znacznych posiłków wojskowych z Polski do Saksonji; książe więc zawezwał do powrotu syna, który niebawem podał się do uwolnienia ze służby. Powrót teraz do rodzicielskiego domu był wielce pożądany dla księcia Marcina, stary miecznik w towarzystwie chorągwi pancernéj wyjechał na jego spotkanie; skoro złączył się orszak jego z podróżnym orszakiem, syn i ojciec pozsiadali z koni i w serdecznym powitali się uścisku. W Janowieckim zamku pani miecznikowa koronna matka i pani wojewodzina Połocka Sapieżyna, siostra Marcina oczekiwały w gronie gości płci obojéj, którzy przyjęli następnie udział w wspaniałéj uczcie; długie stoły w jadalnéj sali uginały się pod ciężarem zastawionego srebra, na chórze przygrywała kapela a salwy z dział na wałach zamku oznajmiały o często spijanych toastach za zdrowie króla, hetmana, przytomnych dygnitarzy, gospodarstwa domu i księcia Marcina; trzy dni i tyleż nocy trwała biesiada z muzyką, tańcami, fajerwerkami i illuminacją w ogrodze, nikt z przytomnych nie przewidywał wcale, że w przeciągu niespełna jednego roku, zamek Janowiecki miał podwójną pokryć się żałobą. Wkrótce po wspomnionych festynach, książe Marcin pojechał na Litwę do siostry swojéj księżny Sapieżyny, po drodze odwiedził dwór w Nieświeżu księcia Radziwiłła, dokąd przyjechał z licznym orszakiem dworzan, ale tu niedługo gościł, przyzwyczajonemu bowiem do zagranicznéj wytworności w obejściu, nie podobały się rubaszne zwyczaje szlachty litewskiéj, pokłócił się z jednym z przyjaciół Radziwiłłowskiego domu i przed samym wyjazdem w pojedynku śmiertelnie ranił przeciwnika; ojciec tegoż wydał ks. Marcinowi proces o zabójstwo syna, przyjaciele jego bowiem zeznali, że pojedynek ów odbył się bez sekundanta i świadków, słusznie więc można było uczynić zarzut prostego morderstwa. Złe wieści tak obiegają szybko, że w przeciągu dwóch tygodni doleciały z Nieświeża do Janowca i nie mile odbiły się o uszy miecznika, który nie spodziewał się wcale, że w krótkim czasie jeszcze smutniejsze czekają go wypadki. Karol Radziwiłł nie rozgniewał się wcale, jakkolwiek książe Marcin pokonał w pojedynku Jundziłła przyjaciela ich domu; owszem spotkawszy go wkrótce po tém wypadku, poklepał go po ramieniu i zawołał z zwyczajną mu wesołością: „gracko

popisałeś mi się *panie kochanku*, widzę że nie naprózno uczyłeś się mustry w służbie króla pruskiego; który dziś ma podobno najbitniejsze wojsko w Europie.“ Nie zważając na dobre usposobienie pana domu, nie chciał książe Marcin narażać się na przykrości ze strony innych osób, które nie miłém na niego spoglądały okiem i były twórcami szkodzących jego sławie wieści,więc nie namyślając się długo pożegnał ks Radziwiłła *panie kochaku* i pojechał do siostry księżny Sapieżyny. W nowém miejscu pobytu Marcina, na dworze siostry zaczy na się dramat,który miałał przypłacić długim szeregiem nieszczęść: tu on bowiem poznał przecudnéj urody Litwinkę, Annę Wyleżyńską,jedną z panien rezydentek Sapieżyńskiego domu. Książe Marcin był już niebezpiecznym wówczas dla serc niewieścich łowcem , z męzką urodą łączył powab wymowy i dowcipu, pobyt w Paryżu wpłynął wielce na rozwinięcie wrodzonéj mu skłonności podbijania płci pięknéj, a piérwsze przełamawszy skrupuły, łatwo mu teraz było stąpać po zasłanym różami gościńcu, choć spostrzegł może za późno, że w tych różach ukrywały się ciernie. Anna Wyleżyńska liczyła rok ośmnasty; młody ex generał wojsk pruskich od piérwszego poznania wywarł na niéj jedno z tych wrażeń, co czasami wystarczą na całe życie, pokochała go piérwéj nim zdołała poznać rodzaj swego uczucia i wybadać jego siłę, nim zastanowiła się nakoniec dokąd może ją doprowadzić ta miłość. Książe Marcin nie był wtedy z rzędu uwodzicieli, którzy szukając coraz świéższych wrażeń, nie zdolni są do żadnéj ofiary; był on jeszcze bardzo młody a serce jego zabiło goręcéj na widok skromnéj i uroczéj litwinki, nie śmiał ją przyrównywać nawet do żadnéj z bogiń paryzkich, na cześć których niedawno wonne palił kadzidła, poczuł więc na jak wielkie naraża się niebezpieczeństwo, uwodząc młodą dziewczynę, którą ojciec, cześnik Wyleżyński zostawił pod opieką księżnéj rodzonéj jego siostry. Nie będziemy opisywać całego ciągu miłości, która była wstępem do pełnego przygód dramatu w życiu księcia Marcina, powiemy tylko, że prędzéj nim zdołano się spostrzedz w gronie rodzinném o zamysłach zakochanego młodzieńca, on nie spodziewając się wcale aby mógł otrzymać zezwolenie swych rodziców i siostry opiekunki panny, na zawarcie z nią małżeństwa, postanowił ją wywieźć za granicę, by tam bez przeszkody mógł ślubnym połączyć się z nią pierścieniem. Dla dopięcia zamierzonego celu nie dość silnéj woli, potrzeba było również materjalnych środków, n.e mogąc rachować na ojca, dla którego zamysł jego musiał być tajemnicą, zaciągnął Marcin pod różnemi pozorami pożyczkę od siostry, jakotéż od księcia Karola Radziwiłła; następnie zniknął bez wieści, uwiozłszy pewnéj nocy najdroższy przedmiot swych marzeń. Odkrycie tego wypadku poraziło gromem siostrę i matkę księcia Marcina, ta bowiem przyjechała niedawno w gościnę do córki swéj księżnéj Sapieżyny, zasmucił się wielce książe Paweł Sapieha wojewoda Połocki, bo ojciec panny cześnik Wyleżyński był obywatelem szacowanym powszechnie w całym powiecie, natychmiast rozesłał gońców w różne strony z rozkazem przytrzymania ks. Marcina i odwiezienia panny, ale naprózne były poszukiwania, bo zakochany młodzieniec przewidując następstwa, schronił się z panną w ustronnym domku leśnika, którego hojnym za to udarował upominkiem; dopiéro na trzeci dzień wyruszył z ukrycia i dążył prostą drogą ku Warszawie, kiedy posłańcy księcia wojewody powrócili już do dworu. Najboleśniéj ten wypadek przeraził księżnę miecznikowę koronną, ten czyn ukochanego jedynaka szkodzący jego dobréj sławie i uwłaczający honorowi Sapieżyńskiego domu, tak srogą przeszył strzałą serce matczyne, że w kilka dni po wydarzonéj katastrofie ciężką została dotknięta niemocą. Oburzenie okolicznéj szlachty na odgłos tego wypadku było ogromne, jak powiedzieliśmy już bowiem cześnik Wyleżyński miał wielu przyjaciół, klęli się oni, że pomszczą krzywdę zadaną jego domowi. Rozżalony ojciec panny napisał list do księcia miecznika wzywając pomsty Bożéj na głowę uwodziciela, który shańbił dom jego. Miecznik miotany uczuciem gniewu i bólu postanowił przedewszystkiem odszukać miejsce pobytu winowajcy, w tym celu wysłał do Warszawy poufnego swego chorążego Siemońskiego i drugiego też gońca z listem do hetmana Branickiego ażeby mu dopomógł do odszukania syna. Chorąży Siemoński wziął list od księcia Antoniego do Marcina, w którym tenże wzywa syna ażeby natychmiast pod utratą jego łaski i błogasławieństwa wyrzekł się związku z Wyleżyńską. Chociaż ks. Marcin otaczał się tajemnicą, nie mógł jednak ukryć się długo przed poszukiwaniem dawnych przyjaciół, którzy wyśledziwszy jego kroki, donieśli ojcu jego i panny, że kochankowie znajdują się w Warszawie i że prawdopodobnie zawarli potajemnie związki małżeńskie. Wiadomość ta na umyśle miecznika najgorsze sprawiła wrażenie, w piérwszéj chwili gniewu, za samowolny czyn syna, postanowił go wydziedziczyć, atoli po dłuższém zastanowieniu nie chciał pozbawiać praw spadkobierstwa jedynego potomka, ale zamierzył ukarać go więzieniem i zmusić do posłuszeństwa ojcowskiéj woli. Cześnik Wyleżyński przeciwnie, powziąwszy z rozgłoszonéj wieści nadzieję, że córka jego poślubiła księcia Marcina, napisał do niego list pełen umiarkowania, w którym wyraża swoje obawy nad losem jedynéj córki, ma jednak niepłonną nadzieję, ze książe Marcin oczyści się ze swego postępku przed światem i nie wniesie hańby w dom jego, ale dodaje w końcu, że gdyby zawiódł to oczekiwanie, niech lęka się

gromu niebios, który niezawodnie spadnie na jego głowę, niech nadto oświadczy Annie, że w razie tego zawodu nie ma po co wracać do rodzicielskiego domu, bo on się jéj wyrzeka zupełnie, wydziedziczy ją i postąpi według rygoru prawa, to jest Roz- XIV. art. 31. Statutu Litewskiego. Książe Marcin odebrał obadwa listy najprzód od księcia miecznika, znacznie późniéj od ojca panny, ten ostatni doszedł do rąk jego, na kilka dni przed śmiercią matki, która jak wspominaliśmy wyżéj, umarła w podróży w Kocku. Znękana cierpieniem moralném i fizyczném, księżna Anna dążyła do Janowca, ażeby podzielić i osłodzić boleść męża, ale choroba i ciężkie troski wyczerpały jéj siły i oddała ducha Bogu, blizka kresu podróży.

Oto były wypadki poprzedzające smutny obrzęd w Kazimierzu, który zgromadził licznych gości na dwór księcia miecznika kor. w Janowcu.

II.

Po ukończeniu obrzędu pogrzebowego u OO. Reformatów w Kazimierzu, książe miecznik koronny rozdawszy hojne ubogim jałmużny wrócił pośpiesznie do Janowca, gdzie oczekiwał na przyjazd dostojnych gości, którzy oddali ostatnią posługę zmarłej małżonce.

Najpierwszy wjechał do zamku Jan Klemens Branicki hetman wielki koronny w licznym orszaku oficerów, towarzyszy pancernych i dworzan, wkrótce za nim nadjechał Adam Małachowski krajczy koronny wielki przyjaciel księcia miecznika, dalej panowie: Lubomirski Franciszek starosta Buski, Antoni wojewoda Lubelski i Stanisław strażnik koronny, jakoteż inni kolligaci gospodarza domu. Miecznik pochylony i smutny witał każdego z gości u podwoi, poczém wprowadzał do obszernego pąsowym adamaszkiem obitego salonu, który przytykał do jadalnych pokojów, tamże obecny pan Maciej Hanicki marszałek, w paradnym mundurze towarzysza chorągwi pancernéj niskim ukłonem witał każdego z przybywających gości. W gronie pań znakomitszych, które miały udział w téj smutnéj uczcie były: pani Lubomirska wojewodzina lubelska z siostrzenicą swą panną Franciszką Krasińską. Magdalena Sapieżyna córka księcia miecznika zdążyła na pogrzeb matki do Kazimierza, poczém przybyła wraz z ojcem do Janowca, w grubéj ubrana żałobie, towarzyszyły jéj nie odstępnie dwie panny Tarłówny sieroty, krewne tego domu, pozostające na opiece księcia miecznika koronnego; te piękne dziewczęta budziły współczucie w oczach zgromadzonych gości, przed rokiem umarła im matka, teraz zaś opłakiwały w czarnych sukniach stratę dobrodziejki, która drugą im była matką. Oczekiwano jeszcze na przybycie Jerzego Mniszcha marszałka nadwornego kor. z żoną, córką ministra Brüla, ale napróżno; Mniszech poróżniony był w tym czasie z Janem Klemensem Branickim, który jego teściowi wyrzucał przedajność starostw i urzędów i czernił cały dwór króla, idąc więc za radą żony postanowił uniknąć niemiłego spotkania i odwiedzić miecznika koronnego, w innéj stosowniejszéj porze.

Tymczasem zgromadzeni goście zajęli miejsce na kanapach i krzesłach w dwóch przyległych salonach, niektórzy parami, inni zebrani po kilku około stolików, ci bawili się rozmową, inni spędzali troskę z czoła, wielkie spełniając puhary; w gronie tych ostatnich odznaczał się jak zawsze Adam Małachowski sławny z pijatyki, ale gorliwy marszałek sejmów i zacny obywatel kraju Obok krajczego Małachowskiego siedział Antoni Lubomirski wojewoda Lubelski, Franciszek Lubomirski starosta Buski, brat gospodarza, ten ostatni dolewał ciągle gościom wina, mianowicie krajczemu koronnemu, który zabawiał wszystkich rozmową i pilnował każdego ażeby pił koleją. Głównym przedmiotem rozmowy obecnéj był Karol książe Kurlandzki, bowiem Adam Małachowski i Antoni Lubomirski świeżo powrócili z Warszawy, gdzie byli przytomni inwestyturze królewicza Karola.

— Wielką radość dworu, z okazji promocji królewicza na księztwo Kurlandzkie, podzielają warszawianie, nie prawdaż mości książe wojewodo, że jak Warszawa Warszawą, nie widziano nigdy tak świetnych assamblów i balów? — rzekł krajczy koronny zwracając się do Antoniego Lubomirskiego.

— Prawdać to niezawodna, ale przyznaj w. panie krajczy koronny, że Najjaśniejszy nasz królewicz, dobrze zasłużył na miłość naszą, boć czy z rozumu, czy z męztwa i urody, on *prym* trzyma pomiędzy braćmi.

— Nie wiem, czy téż dwór się zbytnie nie łudzi temi oznakami radości, boć to bracia nasi lubią bawić się czasem i wypić i zatańczyć, kiedy po temu nadarzy się pora. Króljegomość i minister jego dają assamble, spraszają piękne panie i młódź dorodną, więc wszyscy dalejże za niemi w tany, przy wesołéj kapeli i przy winie, zapominają się łacno urazy, ci nawet co rąbali się przy reassumpcji trybunału, lub pokiereszowali łby na sejmikach, ściskają się obok jednego stołu i w jednéj izbie stroją do panien koperczaki, ale my szczwane lisy widziemy dobrze i daleko, a śmiejemy się w duszy z téj przyjaźni, co to wyrasta przy pannach i przy winie...

— Wiadowo wszystkim, odrzekł poważnie Antoni Lubomirski, że Najjaśniejszy książe Kurlandzki, choć młody jeszcze, w wielkiéj jest estymie tak u poddanych swego ojca, jakoteż u obcych; wyniesienie jego na tron Kurlandzki jest niezaprzeczonym tego dowodem; dziwię się mocno, Mości Panie Krajczy, zkąd wam takie rodzą się wątpliwości. Jestem pewny, że większość obywateli szczerze przywiązaną jest do Najjaśniejszego Królewicza, ztąd tuszę

śmiało, że on będzie tym węzłem co połączy niechętnych z tronem.

— Dałby Bóg by spełniło się proroctwo Waszéj Ks. Mości, bo inaczéj, pono, nie doprowadzimy żadnego sejmu do końca.

— Pożądane rozwiązanie sejmu, zależy od pogodzenia narodu z tronem.

— Wiemy o tém wszyscy dobrze, ale łacniéj pono wyrwać duszę pokutującą z piekła, niż doprowadzić umysły braci do zgody, mój J. O. Książe Wojewodo! głowa moja osiwiała już na tych sejmach, z których żaden nie mógł przyjść do skutku, choć w Imię Boga Wszechmogącego zaklinałem posłów, by na bok odrzuciwszy prywatę, do zgodnego nakłonili się postanowienia. Myślę nieraz że już przyszła pora w któréj skruszyły się umysły braci, bo wszystko na początku sejmu układa się snadnie, aż w końcu jakiś czart przeklęty w osobie posła wyskoczy z owém: „*sisto activitatem!*“ jak ów niecny Podhorski, poseł Wołyński, na zeszłorocznym sejmie.

Kiedy tak żywą toczy rozmowę Adam Małachowski z księciem Wojewodą Lubelskim, Franciszek Lubomirski skorzystał z zapomnienia Krajczego koronnego i wyniósł się z jego grona nieznacznie, obawiał się bowiem aby nie przyszła mu przypadkiem do głowy fantazja i nie zechciał zmuszać do spełnienia niepomiernéj ilości puharów, jak to wydarzało się często w domu Krajczego w Bąkowéj Górze, skoro kto z gości zawitał. Pan starosta Buski przyłączył się do towarzystwa Jana Klemensa Branickiego, który dotychczas wiódł po cichu rozmowę z jego bratem. Hetman był słusznego wzrostu i dobréj tuszy, twarz miał podługowatą, policzki rumiane, wyraz oczów poważny, łagodny, głowę miał podgoloną, a strój jego polski nie źle przypadał do poważnych, aczkolwiek nacechowanych miękkością obyczaju, rysów, włosy hetmana dobrze były przypruszone siwizną, mógł mieć przeszło pięćdziesiąt lat wieku. Książe Miecznik Koronny, siedzący obok hetmana Branickiego, ubrany był w mundur chorągwi pancernéj, któréj był dowódzcą, twarz jego była blada, czoło zmarszczkami pokryte, wzrok bystry, przenikliwy i zaciśnięte usta wyrażały charakter wrażliwy i namiętny, ale przytem wielką energję, która jest przymiotem ludzi czynu.

Miecznik słuchał z niecierpliwością opowiadania Hetmana, który tak kończył rzecz swoją:

— Co mówię W. Ks. Mości, jest niezawodną prawdą; jeżeli nie zamkniecie syna w jakiém pewném miejscu, stracicie go na zawsze; świeża awantura z panem Jundziłłem w domu Radziwiłła w Nieświeżu, wyrosła z dawnych sprawek, o których szeroko głoszą wszędzie, a które miał odwagę ów Jundził wyrzucić w oczy Księciu Marcinowi; nie miał on wprawdzie innych dowodów, prócz pokątnych wieści, aleć zawsze cierpi na tém niemniéj sława waszego domu. Również, nie podlega wątpliwości, że książe Marcin w przystępie szalonego gniewu, rozprawił się z nim bez świadków i tak ciężko ranił w głowę przeciwnika, że skonał na miejscu.

— Wiem, że syn mój, choć tak młody, dużo nabroił już na świecie, ale, po powrocie z Paryża, wyspowiadał mi się ze wszystkich grzechów; przez czas zaś pobytu jego w wojsku pruskiém, najlepsze oddawano mu świadectwa.

— Prawda, syn wasz bił się jak lew walecznie i to jest nie małą jego zasługą, mówi i pisze expedite kilkoma językami, dobry przytém przyjaciel, słowem gracz, do wszystkiego, jakich mało, mógłby nowy splendor przyczynić do sławy Lubomirskich domu; ale jak już mówiłem, mam nie jeden dowód świadczący o jego sprawkach w wojsku pruskiem, o czém wkrótce przekonacie się sami, skoro wam prześlę zażalenia podane na moje ręce; wszędzie zaciąga długi, które uczciwość nakazuje ojcu za niego płacić... jeżeli to potrwa lat kilka, a nie zapobieżycie temu, będziesz zmuszony W. Ks. Mość sprzedać dobra Połonne, albo honor waszego domu na szwank narazicie.

— Boli mię to o czém słyszę z ust waszych, Wielce Miłościwy Panie Hetmanie, wszystko jednak dałoby się jeszcze może naprawić, ale ten romans z Wyleżyńską, w domu mojéj córki a jego siostry, gniew ojca panny, klątwy i pogróżki... O! ta sprawa kamieniem padła mi na serce... ta sprawa skróciła dni pobożne śp. żony méj a jego matki.

Hetman uśmiechnął się dobrodusznie i rzekł po cichu nachylając się do miecznika:

— Romans pomiędzy młodemi to nie żadna nowina, Mości Książe Miecznikn, wszak to i my starzy ulegamy pokusie, od gładkiéj twarzy nie odwracamy wcale oczów, owszem w towarzystwie nadobnych pań i dziewek, czujemy taką swobodę i lekkość, jak gdyby parę krzyżyków spadło nam z pleców. Nie o romans tu pono chodzi Książe Mieczniku, ale o ożenienie syna — wszak zgadłem?

— Ożenienie z Wyleżyńską! zawołał z widoczném wzruszeniem Miecznik. O, to już zanadto, przysięgam że z tego nic a nic nie będzie!

— A jeśli syn wasz jest już ożeniony?

— Nie ma prawa, bez woli ojca, nie śmiałby tego uczynić.

— Jednak słyszałem o tém jako o spełnionym już fakcie.

— Gdyby tak było w istocie... zawołał z oburzeniem powstając miecznik, wypędzę 'go i wydziedziczę!

W téj chwili nadszedł Franciszek Lubomirski, starosta Buski, brat miecznika, a usłyszawszy ostatnią rozmowę, rzekł wolno i poważnie:

— I ja słyszałem o tém miły bracie, nie chciałem teraz nową boleścią ranić wam serca; ale wyrozumiawszy z téj rozmowy, że Im. Pan Hetman Wlelki Koronny ostrzegł o infamji, jaka zagraża naszemu domowi,

nie mam potrzeby ukrywać przed wami, wieści krążącéj w Warszawie od tygodnia, o ożenieniu waszego syna. Aprobuję także waszą sentencję; to jest zgadzam się na to, że syn występny i nieposłuszny, powinien mieć na zawsze zamknięte drzwi rodzicielskiego domu.

— Teraz ja, rzekł wstając poważnie hetman, jako kolligat i przyjaciel waszego domu, nie radzę wydziedziczać syna, który jeszcze poprawić się może, ale raczéj proponuję posadzić go do czasu w więzieniu, naprzykład w Kamieńcu, gdzie pomimowolnie zerwie wszelkie przyjacielskie i miłosne stosunki; następnie należy rozpocząć badania, z którego jeżeli się pokaże, że syn W. Ks. Mości nie popełnił innych występków, oprócz zwyczajnych wykroczeń młodości, jakotéż: że nie jest związany żadnym ślubem, wtedy wnoszę, ażeby mu wyznaczyć czas pewien do pokuty i skruchy, następnie uwolniwszy go z więzienia, radzę ożenić natychmiast, z przyzwoitością należną imieniowi i familji, bo pewien jestem, że książe Marcin nigdy się nie ustatkuje, dopóki nie wyjdzie z kawalerskiego stanu.

Rada hetmana podobała się wielce Księciu miecznikowi.

— Znane mi są wysokie sentymenta mnie wielce miłościwego pana hetmana, więc z całego serca skorzystam z jego mądréj przestrogi i rady.

W téj chwili wszedł do sali Siemoński, chorąży chorągwi pancernéj, powiedział słów kilka nachyliwszy się do ucha Księcia Miecznika Koronnego, poczém tenże zbliżył się do Hetmana i poprosił go na ustęp, do sąsiedniego gabinetu. Tymczasem w sali żółtéj i przyległéj błękitnéj, jadalnéj, mnóstwo napłynęło gości, kontuszowi, z podgolonemi głowami, panowie i szlachta, to znów upudrowani w niemieckich sukniach dygnitarze, starzy i młodzi, strojne panie, z upudrowanemi i zaczesanemi w tył włosami, około których uwijali się fraczkowi w pudrze kawalerowie, bo każda z dam obecnych, musiała mieć swego assysenta, wyjąwszy Księżnéj Sapieżyny wojewodziny Połockiéj, która pogrążona w smutku, po stracie matki, zabawiała się rozmową z jéj byłym spowiednikiem ks. Pijarem Drużbackim. Pan Krajczy Koronny Małachowski, w polskiéj długiéj sukni, z puharem w ręku, miał teraz w szczególnéj swéj pieczy Antoniego Dębowskiego Wojskiego Latyczewskiego, porucznika chorągwi pancernéj, bowiem Książe Antoni Lubomirski wojewoda Lubelski, poszedł za przykładem starosty Buskiego i przyłącrył się do innego grona. Krajczy Koronny nagadawszy się do woli z wojewodą, o zeszłych sejmach i o polityce, podchmielony dobrze, wyzwał na pojedynek Dębowskiego, to jest pił do niego z sążnistego puharu, żądając aby p. Wojski taką samą odpowiadał mu miarą.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Wiadomości Literackie.

Dusza i ciało (Seele und Leib) przez C. Schroeder van der Kolk). 1865 r. Dzieło o którém kilka słów pomówić zamierzamy, jest ostatnią pracą zmarłego przed niedawnemi czasy znakomitego lekarza, fizjologa i psychologa holenderskiego. Napisane w mowie mało upowszechnionéj w Europie, dostąpiło zaszczytu przekładu na wszystkie prawie języki ucywilizowanych krajów. Mamy właśnie przed sobą drugie wydanie przekładu niemieckiego téj zajmującéj rozprawy. Praca ta składa się z sześciu odczytów publicznych, jakie słynny w nauce professor miewał w Utrechcie przed trzema laty. Widzimy tu rozbierane z wielką jasnością najważniejsze pytania dostępne ludzkiemu badaniu. Na dwa wielkie obozy rozdzieleni są badacze duchowéj naszéj istoty, w obecnym czasie. Materjaliści powiadają, że duchowe objawy naszego jestestwa, to nic innego jak tylko wyrób działania organicznego, czyli czysto materjalnego, naszego mózgu. Myśl ludzka świadoma o sobie saméj, najszlachetniejsze popędy, dążności, uczucia, niezłomna wola, moc charakteru, jedném słowem to wszystko co nas wyróżnia od roślin i zwierząt, to wszystko co najszlachetniejszego i najpiękniejszego w człowieku, porównywają ze śliną lub żółcią, z tą różnicą: że ślina, jest wyrobem gruczołów ślinnych, żółć, wyrobem wątroby, a objawy naszego ducha, są wyrobem mózgu. Wykazać jednak prawdy swego przypuszczenia, ci panowie, nie są w stanie, na pociechę ludzkości, gdyż ująć objawy naszego ducha pod sposoby badania środkami fizycznemi, ziemskiemi, zupełnie niepodobna. Światło, ciepło, elektryczność choć się zważyć nie dadzą, ale zawsze objawiają się w danéj przestrzeni i czasie, zresztą termometr zmierzy ciepło, elektromierz siłę elektryczności, ale siły ducha, poświęcenia miłości, nie zmierzysz ziemskiemi środkami, ale myśli potężnéj bujającéj po niebios przestworze i dobiegającéj aż do podnóżka tronu Przedwiecznego,

nie ogarniesz przestrzenią, ani obrachujesz czasu, w jakim wielka myśl świata objawiona, trwać będzie wśród umysłów ludzkich, bo jak wyrzekł nasz Boski Mistrz: „Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą.“

Materjaliści zresztą sami się przyznają, że przypuszczenie ich, jakoby duchowe objawy miały być wyrobem mózgu, dzisiaj nie da się dowieść, ale kiedyś za lat kilkaset może, dojdą do tak delikatnych uczuciomierzów, że niemi oznaczą stopień miłości lub nienawiści, lub do tak czułych uwag, że niemi zważą potęgę jeniusza, lub słabość umysłu idjoty? Zaprawdę, byłoby to śmiesznem, gdyby nie było bolesném, że w wieku pragnącym uchodzić za ważną erę postępu cywilizacji, jednem słowem udoskonalenia w tém wszystkiem co jest prawdą, pięknem i dobrém, znajdują się liczni propagatorowie i zwolennicy zezwierzęcenia ludzkości, bo prosty z ich nauki wynik, że to co jest najpiękniejszym z Bożych utworów, duch ludzki, to jakaś tylko mrzonka teologów, że wszystkie prawdy moralne jakie im człowieczeństwo zdobyło, to fałszywa abstrakcja, oderwane pojęcia bez rzeczywistéj wartości. Wreszcie pokonywani przez przekonywające dowody obrońców indywidualności ducha ludzkiego, materjaliści uciekają się jeszcze do jednego wykrętu: Powiadają, że dla ocalenia jedności w pojęciach nauki o fizycznym organizmie naszym, czyli w fizjologji wypada koniecznie przypuścić, że objawy umysłowe to prosty wyrób ciała. Lecz fizjologja jako nauka czysto materjalna, o życiu ciała traktująca, bynajmniéj na tém nie straci, że w niéj o duchu mówić nie będziemy. Pójdzie ona tymże samym torem co i wszelkie inne nauki przyrodzone, to jest drogą badania fizycznego, gdy tymczasem duch ludzki, zarówno rozumem jak i wiarą, wykazywać wiecznie będzie swoją odrębność od materji, swoją jednostnikowość czyli indywidualność.

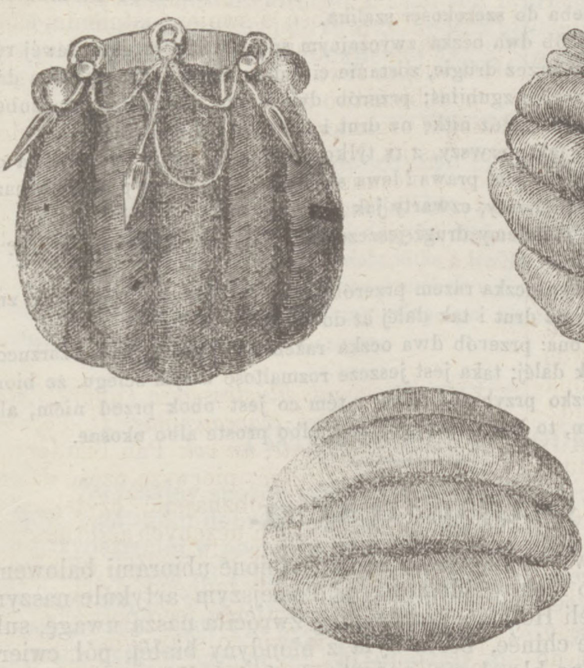
Ażeby dać przykład w jak śmieszny i mizerny sposób streszczają materjaliści pojęcia swoje o duchowych objawach naszéj istoty, dość przytoczyć zdanie niejakiego doktora Jahn'a z Meiningen, który powiada w pewnym artykule, umieszczonym w magazynie filozoficznym Friedreicha, w roku 1830.— „Jest to rzeczą pewną, że to co nazywają duszą, nie jest niczem innem jak tylko czynnością mózgu. Mózg myśli tymże samym sposobem, jak żołądek trawi. Nieśmiertelność to błaha mrzonka.“ Zdanie takie jest śmieszną niedorzecznością. Pewniejszą wszakże rzeczą od wszelkich bezrozumnych zdań doktora Jahn'a *et tutti quanti*, jest ta okoliczność: że objawy naszego umysłu posiadają świadomość o swojem istnieniu, same siebie są zdolne pojąć, sobie się przypatrywać. Myśl wielka trwa wiecznie, nie rozłoży się ona, na podobieństwo żółci lub śliny, albo innego jakiego organicznego wyrobu, na składów pierwiastki. Nie wdajemy się tu w dalsze wywody o nieśmiertelności duszy, odsyłając ciekawych bliższych o tém szczegółów, do zajmującego dziełka Schröder - Van - der-Kolka.

Stanisław Chomętowski.

———

Vies des savants illustres avec l'appreciation sommaire de leurs traveaux par L. Figuier. Savants de l'antiquité, un vol: Pan Figuier wydał pod tym tytułem, pierwszą część dzieła, w którym zamyślił obznajmić czytelników, z żywotami wszystkich uczonych aż do naszych czasów. Jest to nader pożyteczna praca, nie mamy bowiem dotąd żadnego dzieła w tym rodzaju, a nieraz czujemy jego potrzebę, gdy wypadnie nam mówić o sławnym uczonym w jakimkolwiek specjalnym przedmiocie. Piérwszy tom téj książki, który wyszedł obecnie, poświęcony jest uczonym w starożytności, poczynając od siedmiu mędrców greckich, aż do czasów szkoły aleksandryjskiéj. W całym tym okresie zamykają się ważne postępy we wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiéj, lecz mało mamy o nich pewnych wiadomości, albowiem większa część dzieł rzymskich i greckich uczonych, zaginęła bez śladu, autorzy ich, nawet, znani nam tylko z pobieżnych wspomnień, rozrzuconych bezładnie w pismach starożytnych, trzeba zatém wielkiéj cierpliwości i nie mniejszéj erudycji, ażeby zebrać i ocenić należycie te materjały. Na szczęście, wiadomości pana Figuier w tym rodzaju, są nader obszerne, i mógł on śmiało przedsięwziąść podobną pracę. Trzy następne tomy będą poświęcone uczonym średniowiecznym, uczonym z czasów odrodzenia (*renaissance*) i ośmnastego wieku. Spodziewamy się, że dzieło to zostanie przyjętém jak najlepiéj, przez światłych czytelników, napisane bowiem w sposób wielce zajmujący, przyczyni się bezwątpienia do rozpowszechnienia sławy ludzi, którzy oddali ważne posługi ludzkości, pracując dla postępu i dobra nauki.

Dodadatek do Zeszytu IV Kółka Domowego.



Koki ułożone z włosów według wzorów pana Kocha.

Najnowsze koki jakie przedstawia rycina nasza, których wzory wzięte z magazynu pana Kocha, składają się, jak widziemy, z pukli poprzecznych, oraz z pukli układanych na kształt loków. Umieszczają się dość wysoko, tak że grzebień wpięty u góry, widać często z przodu głowy. Kosztują od 4 do 6 rs. stosownie do tańszego lub droższego koloru włosów. Grzebienie zaś najmodniejsze i najdroższe są z żółtego szyldkretu koloru bursztynu (écaille blonde) od 12 do 40 rs. Prócz tego są używane bardzo, grzebienie z ławką srebrną, misternie *ajour* wyrobioną, które płacą się od 4 do 10 rs. stosownie do wyrobu. Modne są także grzebienie z ławką ze stali brylantowéj od 2 rs. u pana Kocha, grzebienie szyldkretowe nabijane stalą po rs. 5, oraz grzebienie z ławkami naśladującemi złoto od 1 do 10 rs. jeżeli wyrobione pięknie. Oglądałyśmy też u pana Kocha piękne guziki naśladujące doskonale starą monetę. Motyle do wpięcia we włosy, o przezroczystych skrzydełkach, naklejonych świecącemi, prawdziwemi robaczkami, w cenie rs. 2. przepaski do włosów gładkie, złote, po zło. 5, zaś z emaljowaną trzesącą się stokrotką w pośrodku, po rs. 5; naszyjniki z aksamitki czarnéj, na palec szerokiéj, u któréj zawieszone w pewnych odstępach bombelki perłowe, okrągłe, w złoto oprawne, lub srebrne, podłużne: po rs. 2, oraz maszynki do przypinania serwet do sukni przy stole: po zło. 2. Jest to rodzaj guziczków koralowych, które można nosić przy sobie w portmonetce; oba są szczepione razem, gdy się zaś rozkręcą, każden jest opatrzony w rodzaj świderka, którym serweta przypina się mocno do sukni.

Wracając do czesania włosów, dodamy; że włosy z przodu zaczesują się zawsze jednakowo dość płasko i mniéj lub więcéj podniesione po nad czołem, stosownie jak komu do twarzy.

Tricot corde tym ściegiem najlepiej jest robić szaliki włóczkowe na grubych drewnianych drutach, bo będą elastyczne, ciągnące się, a bardzo łatwe do zrobienia. Nabierz oczek ile ci potrzeba do szerokości szalika.

Pierwszy rzęd: przerób dwa oczka zwyczajnym sposobem, drutem z lewéj ręki, weź pierwsze oczko, przełóż przez drugie, zostanie ci jedno; teraz załóż nitkę na drut, to będzie przybrane za tamte co zgubiłaś; przerób dwa oczka zwyczajnym sposobem, przełóż pierwsze przez drugie, załóż nitkę na drut i tak daléj aż do końca.

Drugi rzęd tak samo jak pierwszy, z tą tylko różnicą, że robić będziesz na odwrót, jak zwykle się robi kiedy jest prawa i lewa strona, co w robocie pończoch nazywamy drużką. Trzeci jak pierwszy, czwarty jak drugi.

Tricot Napoleon, podajemy drugi jeszcze ścieg, któren mało co różni się od pierwszego.

Pierwszy rzęd: weź dwa oczka razem przerób, załóż nitkę na drut, przerób znowu dwa razem, załóż nitkę na drut i tak daléj aż do końca.

Drugi rzęd, lewa strona: przerób dwa oczka razem na odwrót, jedno zarzucone na drut, dwa razem i tak daléj; taka jest jeszcze rozmaitość w tym ściegu. że biorąc dwa razem oczka, bierz oczko przybrane, albo z tém co jest obok przed niém, albo z tém co jest obok za niém, to będą paski wiązane, albo proste albo ukośne.

O UBIORACH.

Magazyny nasze w obecnéj chwili są zatrudnione ubiorami balowemi, i dla tego podajemy o nich wiadomości, w dzisiejszym artykule naszym. W magazynie Pani Adeli Hofman, szczególniéj zwróciła naszą uwagę, suknia biała moire antique chinée, berta była z blondyny białéj, pół ćwierci łokcia szerokiéj, deseń na blondynie, naszyty drobniuteńkiemi koralikami, rękawki krótkie, przystrojone takąż blondynką, szarfa biała ułożona bardzo zręcznie w kokardę, z długiemi, pół łokcia szerokiemi, końcami, zrobiona także ze wstążki. Spódnica bardziéj niż powłóczysta, bo miała dwu łokciowy ogon. Suknia poult de soie lilla mauve, berta oszyta koronką, stanik gładki mocno wycięty, z dodaniem szmizetki koronkowéj, mocno namarszczonéj, która tworzy jakby pół wycięty stanik, u dołu oszyta grubym, jedwabnym sznurem. Poult de soie zielony, u dołu przystrojony trzema w fałdy układanemi falbanami z krepy, falbany ujęte w lekką pasamanterję jedwabną, przerabianą złotem, stanik gładki, oszyty koronką białą *Cluny*, guziki na staniku białe kryształowe, w formie gwiazdek. Suknia morowa z ogonem trzy łokcie długim, z dwóch boków podniesioną była i ujęta sznurem złotym, z wiszącemi żołędziami złotemi, pod spodem widać było węższą trochę spódnicę z białego poult de soie, z wolantem ułożonym jak *rusza.* Gdzie wypada zmarszczenie, był sznur złoty; stanik gładki, rękawy ubrane były takimże sznurem i spadającemi żołędziami.

Z lekkich sukien bardzo nam się podobała suknia tarlatanowa, koloru mais, z potrójną, w trzech cieniach, falbanką u dołu, ujęte były w rulonik jedwabny, koloru tarletanu, spódnica powłóczysta, nie miała jedwabnego sznura u dołu, bo potrójny wystrój, już dostatecznie utrzymuje spódnicę, choć zbyt długa, nie plącze się i odstaje; na téj spódnicy była tunika a la chateleine, to jest z przodu otwarta, czarna koronkowa, stanik a la bèbè przystrojony czarną koronką. Inna znów była tarletanowa bleu mexique, z trzema wolantami, po nad każdym wolantem był galon złoty, stanik gładki, oszyty blondynką.

Chciałybyśmy naszym czytelniczkom jeszcze coś powiedzić o przystrojeniu głowy, ale żadna nie zaszła zmiana. Jak dawniéj, układano kwiaty spadające na ramiona i z tyłu, tak teraz noszą, jak w zeszłym zeszycie

powiedziałyśmy, tylko opaski mniéj więcéj przystrojone, podwójne lub potrójne, z aksamitu błękitnego, ponsowego, czarnego, stosownie do tego w którym kolorze jest więcéj do twarzy, sposób ułożenia kwiatów także jak opaski, najwięcéj z drobnych, bo najlepiéj dadzą się ułożyć w gierlandę po nad czołem.

Objaśnienie tablicy mód.

Figura 1. Spódnica z paletocikiem z fioletowego atłasu, okładana sobolami, paletocik, podszyty białym *poult de soie*, lekko watowany i pikowany. Toczek również fioletowy, obłożony sobolem z białą kitką i białym gazowym welonem.

Figura 2. Suknia popielata *poult de soie*, fasonu *gabrielle*, zielona, z jedwabną pasmanterją i koronką *cluny*. Kapelusz zielony, aksamitny z białemi szarfami, strojny białą pasmanterją i koronką.

PIELĘGNOWANIE OGÓRKOW.

Zwyczajny sposób pielęgnowania ogórkow w inspektach jest następujący: z gatunku dobrego ogórkow inspektowych, zasiać w końcu Grudnia a przynajmniéj w początku Stycznia, w małych wazonikach, po dwa lub trzy ziarnka, z tych co zejdzie, najlepsze flance zostawić i utrzymać tak, dopóki niedostaną po trzy listki; zasiew ten można utrzymać w umiarkowanym inspekcie, lub jeżeli kto ma w trephauzie. Gdy już flance mają trzy liście, oprócz listków nasiennych, przesadzają się do inspektów, gdzie już rość mają, sadząc małe gatunki, po trzy lub cztery flance pod jedno okno, a wielkie po dwa tylko: po zasadzeniu należy trochę w cieniu zostawić, póki się nie przyjmą; ciepło utrzymać jednostajne, okna spocone ocierać, ażeby krople wilgoci nie spadały i nie gnoiły flanców. Gdy flance podrosną, przyciąć nad czwartym liściem, aby wypuściły poboczne gałęzie; można chodować i bez obcinania. Potem jeżeli wypuszczą za wiele gałązek i gdy inspekt zbyt zagęszczą, wszystkie mało mające liści, a mniéj jeszcze zawiązków na owoc, można poodcinać. Z początku mało należy polewać, bo ziemia ma dosyć wilgoci od pary; potem zaś częściéj wodą letnią. Gdy już ogórki zaczną wydawać owoce, więcéj potrzebują wilgoci, polewać najlepiéj konewką z rurką, w samo południe, chociażby nawet największy był upał.

Ktoby chciał mieć najwcześniejsze ogórki, powinien z gatunków rannych zasiewać we Wrześniu, w małych wazonikach, po dwa lub trzy ziarnka, w ziemi pulchnéj z trocinami zmięszanéj; gdy wszystkie zejdą, jednę tylko najsilniejszą flancę zostawić, od zimna zachować, utrzymując w inspektach lub trephauzie. W połowie Stycznia przesadzić z wazonów do nowego inspektu, z ostrożnością, aby wyjmując z wazonów nie naderwać korzeni środkowych, a boczne nieco trzeba poruszyć, aby łatwiéj chwytały się ziemi i tam pielęgnować wyżéj wspomnianym sposobem.

Pielęgnowanie rannych ogórków bez inspektów. Chcąc mieć ranne ogórki na gruncie, jeżeli kto niemoże mieć w inspektach, zasiać nasiona w Marcu do wazonów, napełnionych dobrą lecz niezbyt kruchą ziemią z rzecznym piaskiem zmięszaną; do każdego z takowych należy po trzy pewne ziarnka zasiać w trójkąt i na cal od brzegów, ażeby miejsca nie brakło później wyrastającym flancom. Nim zejdą nasiona, trzeba wazony utrzymywać w cieple i wilgoci, ale gdy ogórki po dwa listki będą już miały, przenieść je do miejsca widnego, chować przy słońcu i na świeżém powietrzu należy. W Marcu, kiedy już flance nie będą mogły przemarznąć, na dobrze upra-

wionym zagonie, robić dołki o trzy stopy od siebie odległe, na pół stopy przynajmniéj głębokie, o stopę lub więcéj szerokie, w te nałożywszy końskiego lub owczego, ciepłego gnoju, udeptać, a potem, ostrożnie, wraz z ziemią z wazonów flance sadzić na środku gnoju, obsypując je całemi bryłkami ziemi z grzędy. Tak przesadzone do gruntu ogórki, gdy będą dostatecznie polewane, przy wpływie atmosferycznego. ciepłego powietrza, prędko i dobrze rość będą. Gnój świeży w dołkach, do rozgrzania ziemi wiele się przyczyni; a że flance w początkach nie były zbytecznie pędzone, i mniéj miały pożywienia w wazonach, niż teraz na gruncie, wegetacja szybko odbywać się będzie, i okażą się na sznurach; kwiaty żeńskie z zawiązkami. Do takiego zasiewu najlepsze są ogórki ruskie, trockie i angielskie zielone.

Pielęgnowanie ogórków gruntowych. Pielęgnowanie gruntowych ogórków już powszechnie dosyć jest znane, ale chcąc dobre z ogórków mieć zbiory, trzeba znać dobrze prawidła hodowli.

W miejscu zasłonionem od wiatrów, a wystawionem na działanie słońca, przygotować zagony na dwa łokcie szerokie, w ziemi dobréj, tłustéj i pulchnéj; na tych robią się w linji prostéj, dwa rowki równoległe, półtora cala głębokie. Kto chce mieć wcześniejsze ogórki, może zasiewać w końcu Kwietnia, lecz je od mrozów osłaniać. Sadzi się ziarnka o trzy cale jedno od drugiego, po czem ziemia się zarówna. Jeżeli ziemia sucha i pora roku ciepła, należy ogórki zasiane, co trzeci dzień przynajmniej, z konewki przez durszlak o południu polewać. Kiedy powschodzą i po cztery listki mieć będą, jeżeli są za gęste, trzeba je rozsadzić, aby między zostawionemi, przynajmniéj ośm cali odległości było; te zaś które się wyjmą, powinny być, z nienaruszoną ziemią około korzeni, przesadzone na inne zagony w równéj odległości, natychmiast podlane i od promieni słońca zabezpieczone. Ponieważ ogórki prędko nie rozścielają się po całym zagonie, chcąc z niego korzystać, można przed zasianiem ogórków, posadzić między rowkami sałatę, lub wczesną kalarepę.

Aby przyśpieszyć kiełkowanie nasion ogórkowych, trzeba je przed zasianiem, w wodzie miękkiéj letniéj przez godzin 24 moczyć. Grzędy ogórkowe powinny być czysto utrzymywane, przez kilkakrotne opielanie; a że gałęzie bardzo łatwo się rozpościerają, dobrze jest takowe rozrzadzać, odcinając wrzystkie nie mające owocowych zawiązków, a zostawione porządnie na zagonie rozkładać. Ogórki potrzebują wilgoci, trzeba je więc w dniach ciepłych, nawet w upały, często i obficie polewać.

Dobrze pielęgnowane ogórki, przez trzy miesiące mogą dostarczać owoców. Chcąc korzystać z licznego zbioru młodych, nie należy wcześnie zostawiać dla dojrzenia na nasienniki przeznaczonych ogórków, bo te rosnąc, odbierają same wszystkie soki gałązek, z którego to powodu młode ogórki, przestają się mnożyć albo rosną małe, nędzne i chrapowate. Lepiéj jest więc przeznaczyć osobny zagon dla nasienników, na które najdłuższe i najzdrowsze ogórki wybierać potrzeba, późniéj zaś wyradzające się odcinać, aby na próżno nie zabierały soków. Skoro nasienniki nabiorą już pomarańczowéj barwy, i zaczną mięknąć, odjąwszy je od łodygi, należy poukładać w miejscu wystawionem na słońce, i tam leżeć mają, póki gnić nie zaczną. Potem trzeba je w zdłuż rozerżnąć, nasiona, wraz z sokiem wewnątrz się znajdującym, wyjąć i utrzymać w jakim naczyniu, dopóki nie zaczną się burzyć. Gdy to nastąpi, trzeba natychmiast nasiona na przetak wyrzucić, świeżą wodą do czystości opłukać, potem wysuszyć na wolnem powietrzu; tak mogą się zachować do lat sześciu i więcéj.

J. Poznański,
Ogrodnik z zakładu braci Hozer.



Thirifocq, Editeur. Imp. Bec

333.

KÓŁKO DOMOWE.

Marzec 1866.